

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 16 stycznia 1909. Nr 3.

Zagadkowe morderstwo.

(Do illustracyi na str. 2).

Zagadkowe morderstwo.

(Do illustracyi tytułowej).

Jeszcze nie wykryto sprawców morderstwa popełnionego w karczmie Ferberów w Paczołtowicach, gdy rozeszła się grozą przejmująca wieść o zamordowaniu Teresy Marcinkowskiej, propinatorki w Porębie-Żegocie pod Alwernią.



Obrazki z Południa: Stacya kolei żelaznej Zelenika nad Bocche di Cattaro.

W sobotę dnia 2 stycznia, około godziny 8 wieczorem, wszedł do propinacyi Marcinkowskiej niejaki Pierzchała z dwoma towarzyszami. Zdziwili się bardzo, widząc drzwi karczmy otwarte a w szynkowni ciemno. Gdy na wołanie nikt im nie odpowiadał, weszli do izby sypialnej za szynkwasem, gdzie spostrzegli leżące na ziemi zwłoki Marcinkowskiej z głową opartą o przewrócony stołek, w kałuży krwi, spływającej z czterech ran widocznych z tyłu głowy. Z pod głowy zamordowanej wystawało stylisko siekiery zbroczone krwią. Siekiera ta była własnością Marcinkowskich, a leżała zwykle w koszyku na węgle w izbie sypialnej. Ostrze siekiery nie wskazywało śladów krwi, z czego wynika, że siekiera ta nie służyła za narzędzie mordu, lecz została przez zbrodniarza niezręcznie podrzucona celem zmylenia śledztwa. Śladów walki nie znaleziono, z sytuacyi zaś wnosić można, że sprawca mordu napadł na Marcinkowską niespodzianie w chwili, gdy siedziała w szynku i czytała książkę. Tu zadał jej prawdopodobnie cios z tyłu w głowę, po którym biedaczka zdołała jeszcze uciec do sąsiedniej izby, gdzie morderca ją dobił. Sprawca zabrał z szuflady gotówkę z targu dziennego w kwocie około 10 koron oraz kluczyki od automatu muzycznego, które przypadkowo nazajutrz znaleziono na gościńcu.

Podejrzenie zwróciło się zrazu na rodzinę Basterów, zawodowych konkurentów, którym jedynie mogło zależeć na usunięciu zapobiegliwej współzawodniczki. Przeprowadzono też w ich mieszkaniu rewizyę, w czasie której znaleziono siekierę z plamami, jakby od zaschniętej krwi, co jednak Basterowa tłumaczyła tem, iż oprawiała nią zająca. Natrafiono także na skrwawioną chustkę od nosa, oraz karton do fotografii z krwawemi plamami. Rodzinę Basterów aresztowano na miejscu, a wraz z nimi ich przyjaciela serdecznego, asesora gminnego Herziga, krakowska zaś policya ujęła syna Basterów Władysława, ucznia szkoły realnej, którego własnością była skrwawiona chustka. Z nazwiskiem Basterów łączą się różne drażliwe wspomnienia, jeden z nich, który przed dwudziestu kilku laty trudnił się zbójectwem, padł wówczas w walce z żandarmami. Rodzinę tę nazywają w okolicy przeklętą.

Illustracya nasza przedstawia chwilę wykrycia ohydnego morderstwa.



Zażegnany zatarg: Milowanowicz, serbski minister spraw zagranicznych.

Zażegnany zatarg.

Przesilenie polityczne na półwyspie Bałkańskim nie traci dotąd swego ostrego charakteru i utrzymuje całą Europę w ciągłej niepewności. Wszyscy interesowani zapewniają wprawdzie, że zależy im na utrzymaniu pokoju za każdą cenę, lecz zdradzają przytem taką nerwowość, która w danym wypadku może pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwu. Jeżeli kiedy, to w obecnych czasach politycy liczyć się muszą z każdem swem publicznem wystąpieniem, z każdem słowem. Kiedyindziej wygłoszona mowa przez jakiegoś tam ministra serbskiego, czarnogórskiego albo choćby i bułgarskiego, minę-



Zażegnany zatarg: Hr. Forgach, poseł austro-węgierski w Belgradzie.



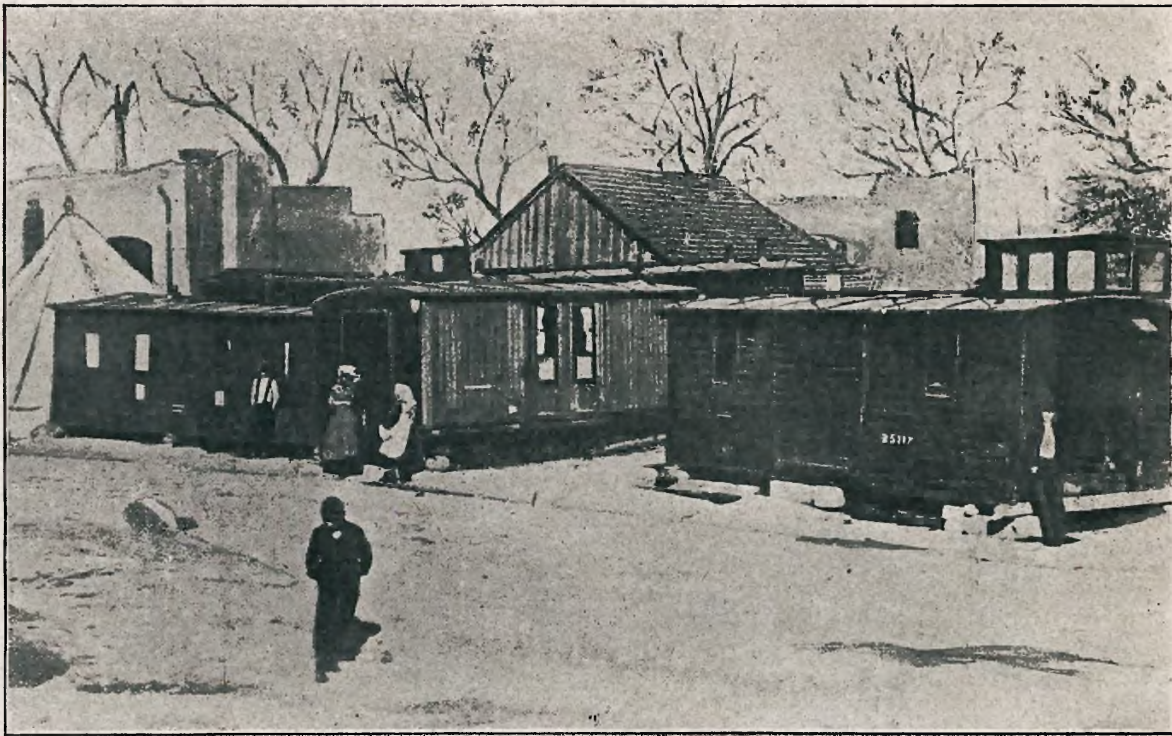
Obrazki z Południa: Kawiarnia na otwartem powietrzu w Banjaluce.

łaby w Europie bez echa — dziś natomiast enuncyacye nawet tych mężów stanu w kieszonkowem wydaniu, mogą posiadać wielką doniosłość.

W ubiegłym np. tygodniu wygłosił w belgradzkiej skupczynie serbski minister spraw zagranicznych, Milowanowicz, mowę w tak napastliwym tonie wyrażającą się o Austro-Węgrzech, że poseł tego państwa, hr. Forgach, zażądał w sposób bardzo energiczny wyjaśnień. Chwilowo sytuacya była tego rodzaju, że zachodziła możliwość wyjazdu posła austryacko-węgierskiego ze stolicy Serbii, a co za tem idzie także zerwania obustronnych stosuków dyplomatycznych.

Ostre wystąpienie przedstawiciela Austro-Węgier, niezwykłe w ich polityce zagranicznej, odznaczającej się tradycyjną chwiejnością i brakiem decyzi, odniosło pożądany skutek. Milowanowicz cofnął się na całej linii, używszy starego ale wygodnego wybiegu. Oświadczył bowiem hr. Forgachowi, że mowę jego dzienniki ogłosiły w fałszywem brzmieniu i że wcale nie wyraził się w sposób obrażający o Austro-Węgrzech, jakoby one zagarnęły w niewolę Bośnię i Hercegowinę i jakoby dla tego powinny być usunięte z półwyspu Bałkańskiego.

Wobec tego stanowczego *dementi* ze strony serbskiego ministra hr. Forgach pozostał w Belgradzie. Giełdy, ten najczulszy barometr polityczny, odetchnęły swobodniej a z niemi wszelkiego rodzaju „strachajły“, którym nie daje spokoju widmo przyszłej wielkiej wojny europejskiej.



Po katastrofie: Prowizoryczne mieszkania w Reggio, urządzone w starych wagonach kolejowych.



Po katastrofie: Wojsko, obozujące wśród ruin Messyny.

Czy na długo jednak wystarczy to załatwienie ostatniego „incydentu“ serbsko-austryackiego — to pytanie, na które trudno w tej chwili odpowiedzieć.

Wobec tak naprężonych stosunków, oraz wielkiej gadatliwości serbskich mężów stanu, łatwo może przyjść do ponownego zatargu, który będzie o wiele trudniej załatwić na zwykłej, pokojowej drodze. Gdyby dyplomacya austro-węgierska miała do czynienia tylko z samą Serbią, sprawa dojścia do porozumienia z nią byłaby nie tak trudną. Tu jednak wchodzi w grę Anglia, popychająca zupełnie otwarcie Serbię i Turcyę na tory polityki antyaustryackiej. W Londynie, gdzie obecnie kieruje polityką zagraniczną sam władca Zjednoczonego królestwa W. Brytanii, nie tają się z tem wcale, że wstręty, czynione obecnie monarchii Habsburgów, są odpowiedzią na to, iż br. Aehrenthal nie dał się wciągnąć do kombinacyi angielsko-rosyjsko-francuskiej.

Oczywistym celem tej kombinacyi jest izolowa nie Niemiec, które stają się dla Anglii coraz to nie wygodniejszym współzawodnikiem na arenie polityki światowej oraz niebezpiecznym konkurentem na światowych rynkach zbytu, a to z powodu olbrzymio wzrastającego ich przemysłu i handlu zagranicznego. Można mieć jednak poważne wątpliwości co do tego, czy Austro-Węgry dobrze wyjdą na swej wierności dla przymierza z państwem Hohenzollernów, znane są bowiem całemu światu: *Deutsche Treue und Dankbarkeit!* Z chwilą, gdy w ten lub ów sposób Niemcy pogodzą się z Anglią, Austro-Węgry będą musiały ponieść koszta ich zgody.

Obok podajemy podobizny obu polityków, którzy odegrali w ostatnim zatargu wybitną rolę.

Srebrne gody ze sceną.

Srebrne gody ze sceną narodową obchodzi w bieżącym roku znakomita artystka dramatyczna, pani Helena Marcello-Palińska. Nazwisko zbyt dobrze znane nietylko w historyi teatru polskiego, ale i u obcych, gdzie niejednokrotnie zbierała hołdy i wawrzyny.

Urodzona w r. 1860 w Perigueux w okolicach Bordeaux, jako córka Marcelego Chraszczewskiego,



Po katastrofie: Mieszkańcy Reggio wsiadają na statki, mające ich przewieść do Neapolu.

w trzecim roku przybyła do Warszawy i tu się kształciła. Zamiłowanie do sztuki dramatycznej objawiło się w niej wcześnie, mając bowiem lat 14-cie wystąpiła po raz pierwszy w Częstochowie w „Doktorze Robin“. W r. 1876 wstąpiła w skład trupy krakowskiej. Już przy pierwszych występach była niezwykłem zjawiskiem, jako zapowiedź wielkiego talentu, a zarazem niepospolitych zalet zewnętrznych: wspaniałego głosu i pięknej twarzy, ozdobionej ślicznemi, czarnemi oczyma. Koźmian cenił bardzo talent artystki, który zwłaszcza w dwu rolach, w „Pojedynku szlachetnych“ Sewera i w „Niby małżeństwach“ Paillerona silnie zabłysnął i przepowiedział jej świetną przyszłość. W r. 1879 zaangażowana na scenę warszawską, gdy Warszawie ubyła niezapomniana nigdy Modrzejewska, a Marya Deryng usunęła się w zacisze domowe, Helena Marcello objęła cały dział ról bohaterskich w tragedyach klasycznych i w dramacie mieszczańskim, rozporządzając w nich zawsze niezrównaną potęgą głosu i niezwykłem bogactwem techniki scenicznej, zawsze inteligentnie opracowanej. Zna zresztą jej znakomitą grę Kraków, podziwiał ją niejednokrotnie Lwów i Poznań oraz większe sceny w Królestwie Polskiem, święciła tryumfy w Pradze czeskiej, Pilźnie i Kijowie, największe jednak zasługi położyła na scenie warszawskiej, gdzie niepodzielnie dzierży berło heroiny dramatycznej.



Po katastrofie; Zniszczone domy w miasteczku Palmi.



Srebrne gody ze sceną: Helena Marcello-Palińska.

Odwołanie rosyjskiego konsula ze Lwowa.

Duże wrażenie wywołała wiadomość, jaka w sobotę ubiegłego tygodnia rozeszła się we Lwowie, że mianowicie konsul rosyjski Pustoszkin został odwołany ze swego stanowiska. Wiadomość ta nadeszła do Lwowa z Warszawy ze źródła autentycznego, a jako przyczynę podano, iż stało się to na życzenie rządu austryackiego, któremu się konsul Pustoszkin naraził.

Krążą jednak w tej sprawie i inne wersye, z których najpoważniejsza i najczęściej powtarzana jest ta, iż między konsulem a pierwszym sekretarzem konsulatu zaszły jakieś nieporozumienia i że to spowodowało odwołanie p. Pustoszkina.

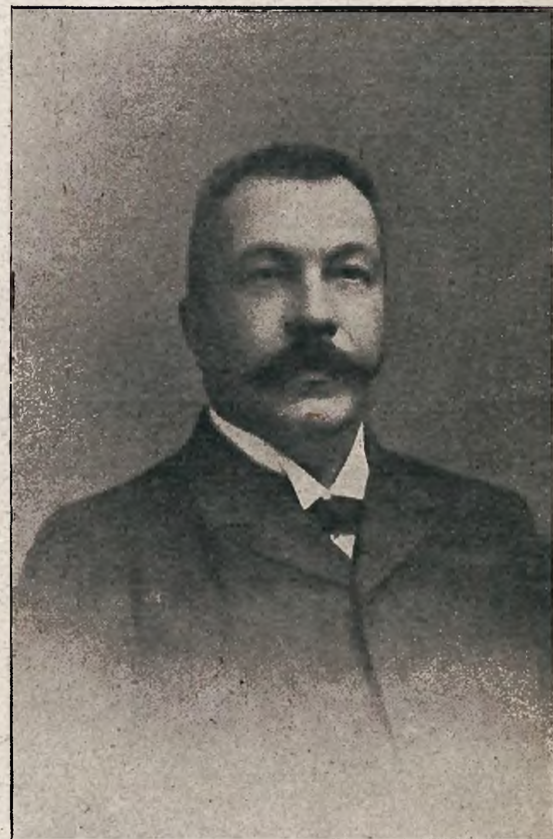
Ze względu na tajemniczość, jaką cała ta sprawa jest okryta, nie podobna oczywiście wyświetlić, która z tych wersyj jest prawdziwa i jakie są przyczyny odwołania konsula Pustoszkina ze Lwowa. Faktem jest jednak, iż to odwołanie nastąpiło.

Konsul Pustoszkin był osobistością we Lwowie ogólnie znaną. Można go było spotkać bardzo często na ulicach miasta, w teatrze, na koncertach, wyścigach itd. Bywał tam zawsze w towarzystwie swej żony i syna, dorosłego już młodzieńca.

Z okazyi odwołania go ze Lwowa zamieszczamy dziś portret p. Pustoszkina.



Armia zbawienia: Kobiety, należące do armii zbawienia, śpiewają pieśń radości na ulicach Chicago.



Odwołanie rosyjskiego konsula ze Lwowa: Konsul rosyjski Pustoszkin.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

3 Ciąg dalszy.

— Germaine, odezwał się Mitre głosem drżącym ze wstydu i gniewu, wyznaj lepiej wszystko. Gdy mówisz, żeś nie opuszczała córki, nie przypuszczasz nawet, jak krzywoprzysięgasz, jakie nieszczęście wywołujesz. Nie byłaś razem z dzieckiem!

— Spytaj się niańki.

— Zbyteczne, co innego cię oskarża.

— Chciałabym wiedzieć co?

— Chodź, zobaczysz.

Nie panując już nad sobą, pociągnął ją do pokoju zajmowanego przez Madę i Teresę. Mamka wyszła, kucharka była w kuchni, w kołysce spoczywało maleńkie ciało ludzkie.

— Patrz!

Germaine pochyliła się przestraszona; to nie córka jej, w dzikiem osłupieniu patrzyła na te nieznane jej rysy.

— Co to znaczy? Gdzie jest Made? Co to za dziecko?

— Szukaj swej córki! Ach, ty dobra i cnotliwa matko, ty byłaś z nią, ty nieszczęsna byłaś z dzieckiem, gdy je przed pół godziną zamieniono!

Przerażona, padła kolana przed kołyską, lamentując:

— Córka moja! Made ukochana!

— Aha, wołasz ją, lecz napróżno. Nie wiadomo czy ją jeszcze ujrzysz. Wróć się na ulicę Le Peletier, szukaj kłamczynio swojej złodziejki. Oddaj jej te pieniądze hańbiące i tę biżuteryę. Ah! fałszywa broszka za dziesięć tysięcy i podrabiane perły za piętnaście tysięcy! Idź stąd nikczemna, precz! precz z mego domu!

I chwytając ją ramiona, wołał:

— No, prędzej! Nie czekaj, bym cię zabił, ciebie i twego kochanka!... Sprzedawałaś się za pieniądze, za brylanty jak dziewka uliczna, wtedy, gdy porywali Made. I oto przez ciebie, ty wyzuta z czci, bez hańby!

Powalona temi biczującemi przekleństwami, które smagały ją jak rzemieniami, powtarzała zrozpaczona:

— Córko moja, Made ukochana!

W skroniach jej zahuczało, załamała ręce, zachwiała się i z przerażającym krzykiem padła bez czucia.

IV.

NA ŚLADACH.

Po opuszczeniu pana Mitre Brunot, inspektor policyi, wziął się odrazu do pracy.

— Niemożebnem jest, mówił do siebie, aby ktoś ze stróżów lub ogrodników tamtejszych nie znał tych mamek. Bywają one tam codziennie, zamieszkują więc tę dzielnicę i muszą tam mieć znajomości! Natychmiast też rozpoczął poszukiwania.

W godzinę potem znalazł już ogrodnika, który pracował w pobliżu ławki zajętej przez mamki i widział jak one uciekały przed deszczem. Nie znał ich, jedną tylko spotykał często rano i wieczorem na ulicy Ranelagh. Opisał też jej wygląd o tyle dokładnie, iż po niedługiem poszukiwaniu Brunot natrafił na Zoe, gdy ta w sklepiku kupowała nabiał.

Poprosił ją do małego odosobnionego pasażu na chwilkę rozmowy. Zapytana o swe koleżanki, utrzymywała, iż zna tylko jedną Bourguignonne, lecz nie może sobie przypomnieć nazwy ulicy, na której mieszka. Zaciekawiło ją niezmiernie to badanie, to też gdy wreszcie dowiedziała się co zaszło, zaczęła przytaczać więcej szczegółów i podała adres „panny Maryi", której nie znała ani nazwiska, ani „nic innego", jak tylko to, że mieszkała na ulicy Raynouard, w głębi ogrodu, w willi z fajansowemi inkrustacyami na froncie, a około ogrodzenia znajduje się skład rowerów.

Bez trudu znalazł Brunot tę willę, lecz dowiedział się tam tylko tyle, że pani pozwoliła iść „pannie Maryi" do siostry zamężnej za stolarzem na przedmieściu św. Antoniego. Niezmużony Brunot przebiegł cały Paryż. W jednej z kawiarń na przedmieściu dowiedział się adresów stolarzy, których była tutaj cała masa. Na szczęście po trzech nieudatnych wizytach trafił dobrze. Siedzieli przy stole. Spostrzegł, że „panna Marya" pobladła, gdy wymienił swój urząd. Co ona mogła mieć z policyą? Ani nie przypuszczała, że istotnie zamieniła wózki. Nagle przypomniała sobie wszystkie okoliczności, tak, bez wątpienia, pomyliła się, lecz dlaczego tamte mamki nie spostrzegły się odrazu? Pewna siebie odpowiedziała zuchwale.

— Ależ panie, cóż to mnie obchodzi! Nie jestem mamką i nic nie mam sobie do wyrzucenia.

— Tak, tak, potwierdził stolarz, wysoki, rudy mężczyzna, który wszelką władzę, a zwłaszcza policyę, uważał za swego osobistego wroga, — tak to prawda. I spoglądał na inspektora złowrogiem okiem, podczas gdy żona jego, gdacząc jak kura, przytakiwała swej siostrze.

Brunot, były żuaw afrykański, nie zmięszał się jednak i odpowiedział:

— Żałuję bardzo, że przeszkadzam w obiedzie, pani jednak była tam, gdzie zaszedł ten wypadek jest więc pani obowiązkiem udzielić mi wszelkich informacyj.

— Ależ, proszę pana, ja nic nie wiem!

— Jakże to wszystko odbyło się.

— Nie zauważyłam... Zapewne mamki pomyliły się i pomięszały wózki.

— Pomyliły się? a skąd pani o tem wie? bo ja przypuszczam, że to było zrobione umyślnie.

Gdy patrzał na Maryę przenikliwym wzrokiem, kręcąc wąsa, zdawało jej się, że już wszyscy ajenci są na jej śladach.

— Ja tego nie rozumiem, wyjąkała trwożnie.

— A jednak to bardzo proste. Mamy oskarżycielkę, niejaką Teresę Jacquin, która obwinia wprost panią i pani koleżankę.

— Mnie!... Jaką koleżankę!

— O, zaraz, mam jej nazwisko na końcu języka, no, niech mi pani pomoże, aha pani wie: Bourguignonne.

— Bardzo mnie to dziwi, bo Bourguignonne jest dzielna kobieta, która bardzo kochała swego małego.

— W takim razie proszę dać mi jej adres, a przekonamy się, czy ona nie zabrała umyślnie córeczki pana Mitre.

— Jej adres? zapytała Marya przestraszona.

— Tak.

— Ależ ja nie znam, ja nie wiem.

— O, to dziwne, bo panie codziennie spotykały się. Mamy już jeden ślad, dzięki pani możemy zdobyć nowy, lecz jeżeli pani nie będzie mogła nic mi powiedzieć, jesteśmy zmuszeni wziąć panią pod dozór. Wniesiono skargę o porwanie, w które pani jest zamieszaną.

Inspektor, pragnąc nastraszyć służącą, kierował się instynktem. Ta, o nieprzyjemnej twarzy i złośliwym wyrazie oczu, może zdecydować się na wszystko — pomyślał.

— To tylko wiem, odpowiedziała, że Bourguignonne, jak ją nazywają, ma na imię Ludwika, istotnego zaś jej nazwiska nie znam.

— A jej pani?

— Ah, jej pani... powtórzyła wahająco Marya.

— Tak, matka tego chłopca?

Marya wiedziała, że pani Dandre — zapamiętała dobrze to nazwisko — nie była matką małego chłopca, ale z tem się nie zdradziła.

— Zdaje mi się, że jest to żona jakiegoś rządcy.

— Rządcy?

— Tak, w jakimś zamku i przypominam sobie, że został on zabity przez kłusowników.

— Czy dawno?

Brunot spojrzał na nią tak ostrym i przenikliwym wzrokiem, iż się zmieszała i powiedziała więcej niż chciała.

— Będzie już ze dwa lata.

— A czy koleżanka nie mówiła pani, gdzie to się stało? Żazwyczaj takie fakty długo pozostają w pamięci.

— Tak... ja nie... nazywa się, przynajmniej Ludwika mówiła, że to la Roche, la Roche... i jeszcze coś na końcu.

Inspektor widząc, że niczego więcej nie dowie się już, zadowolił się temi informacyami i podążył do prefektury, gdzie zdał relacyę swemu przełożonemu, panu Magu. Ten zajęty badaniem innej sprawy kradzieży połączonej z morderstwem, nie miał czasu wysłuchać całego sprawozdania, polecił tylko zająć się jak najpilniej poszukiwaniem dziecka, zwłaszcza ze względu na stanowisko pana Mitre, i udzielił wskazówki, iż zapewne stary Flochart będzie pamiętał to zabójstwo.

Brunot spojrzał na zegarek, było już pół do dziewiątej: o tej porze stary Flochart, były ajent policyi, zwany powszechnie z powodu fenomenalnej pamięci, chodzącą kroniką, znajdował się zawsze w jednej z kawiarń na bulwarach. Tam też podążył inspektor i po niedługim czasie siedział już przy stoliku, radząc się starego ajenta.

— Miejscowości zaczynających się na la Roche nie brak, lecz ta, o którą panu chodzi, jest la Roche-Torte i istotnie został tam zabity rządca przez kłusowników, ale stało się to trzy lata temu, a nie dwa.

— A czy pamięta pan jego nazwisko?

— Zaraz, zaraz...

Flochart oparł głowę na rękach i po krótkiej chwili namysłu, odparł:

— Nazywał się Dandre.

— A czy był żonaty?

— Tak, tak: miał bardzo piękną i miłą żonę; podczas rozprawy sądowej składała zeznania.

— Pani Dandre miała także małego synka?

— O nie, oni byli bezdzietni.

— W takim razie, to nie ta, której szukam.

— Dlaczego?

— Bo ta, której szukam, ma dziecko mniej więcej półtoraroczne.

— Cóż za racya, czyż nie mogła potem wyjść za mąż? Ona nadto była piękną.

— Pozostaje więc tylko dowiedzieć się, gdzie ona mieszka.

— Ciekawym, odrzekł Flochart, spoglądając z uśmiechem niedowierzania na swego młodego kolegę, jak się pan do tego weźmie.

— To łatwe; najprawdopodobniej mieszka jeszcze w la Roche-Forte.

— A jakimże cudem dziecko zgubiła w Paryżu?

— Mogła przyjechać na kilka dni..... najlepiej zatelefonować do mera tamtejszego.

W dziesięć minut potem Brunot rozmawiał już z la Roche-Forte. Gdy odłożył słuchawkę, zwrócił się do Flocharta.

— Dowiedzieć się o niej można w pałacu Morailles, mieszka zaś na ulicy de Lon..., ale końca nie dosłyszałem. Z tego znowu wyniknie tylko strata czasu.

— Ależ łatwo domyśleć się, odezwał się Flochart tonem wyższości, przypuszczam, że jest to Longchamp, zwłaszcza, że w pobliżu nastąpił ten wypadek z zamianą dzieci.

— Doskonale, zaraz tam biegnę, o numer domu dowiem się w jakim sklepiku lub w biurze policyi. Ale, ojcze Flochart, co pan myśli o samym fakcie.

— Umyślne porwanie nie wydaje mi się prawdopodobnem, choćby ze względu na opinię pana Mitre, który jest znany jako bardzo godny, ale i cichy zupełnie urzędnik ministeryum; jedną tylko zwrócę tutaj uwagę, że jeżeli dziecko nie odnajdzie się natychmiast, sprawa cała może przyjąć bardzo szerokie i rozgłośne rozmiary. Pamiętam, że gdy w roku, zdaje mi się 1869 zdarzyło się porwanie dziecka....

Brunot jednak nie okazał się ciekawym tej historyi, lecz ściskając serdecznie za rękę Flocharta, pożegnał się z nim i pospiesznie wyszedł. Wsiadł w doróżkę i kazał się wieść na avenue Victor Hugo. Zatrzymał się przed wielką cukiernią, w której spodziewał się otrzymać szczegółowy adres pani Dandre.

Dama za kontuarem, wspaniale wystrojona i pełna godności osobistej, wzięła niedbale księgę zamówień i popatrzyła w nią od niechcenia: zaraz poznała, że to nie chodzi o żadną wybitniejszą klientkę.

— Pani Dandre? Nie, panie — zmarszczyła przytem brwi — takiego nazwiska nie znam.

Cukiernik jednak, przystrojony w biały kaftan i takąż czapkę, zapewne mąż tej dumnej pani, z za kontuaru wtrącił:

— Ja ją znam: przedwczoraj jeszcze kupowała u nas ciastka. Wiesz, ta miła pani — dodał, zwracając się do żony — która zawsze chodzi z mamką. Mieszka niedawno w małej willi z ogrodem; bardzo łatwo trafić, z boku i z tyłu znajdują się puste place.

Brunot podziękował najuprzejmiej i w tej chwili podążył we wskazanym kierunku. W kilka chwil potem znajdował się już przed ogrodzeniem maleńkiej willi. Zadowolony był z szybkiego postępu swych poszukiwań; jedna go tylko rzecz zastanowiła, iż we wszystkich oknach było zupełnie ciemno; odniósł wrażenie jakiejś pustki i opuszczenia.

Przez chwilę obserwował cały dom w milczeniu, zdecydował się jednak zadzwonić; nacisnął energicznie guzik i wkrótce rozległ się dźwięk dzwonka.

Z wewnątrz nie odpowiedział żaden odgłos. Zaczął więc pukać, potrząsając drzwiczkami ogrodzenia. Na hałas, jaki powstał z tego powodu, wyszła stróżka z sąsiedniego domu.

— Niema tam nikogo, odezwała się.

— Dom ten przecież jest zamieszkały. Pani Dandre?

— Przed godziną wyjechała dorożką razem z mamką i dzieckiem.

— Nikt nie pozostał? Nikt tam więcej nie mieszka?

— Nie. Służąca przychodzi zwykle rano, a odchodzi o dziewiątej wieczorem, lecz od dwóch dni jest chora.

— A dokąd pani Dandre pojechała?

— Tego już nie wiem, wyjechała, ot i wszystkię

Brunot odszedł zawiedziony i niezadowolony. Sprawa wikła się. Czy przypadkiem nie dobrze wyprorokował Flochart, jeżeli od samego początku napotyka się na trudności? W komisaryacie zameldował podejrzane zniknięcie. Postanowiono przeprowadzić śledztwo. W zamianie tych dzieci kryła się jakaś tajemnica. Dlaczego pani Dandre uciekła z nie swojem dzieckiem, bo to nie było nic innego, jak ucieczka?

V.

SPRAWA GMATWA SIĘ.

Gdy pani Dandre po odprowadzeniu Bourguignonne z dzieckiem do ogrodu opuściła ich, by iść na pewną wizytę, nie przypuszczała nigdy, iż odchodząc pozostawia po sobie miejsce dla nieszczęścia. Żaden instynkt nie przestrzegł ją o niebezpieczeństwie grożącem dziecku, którego stała się opiekunką i które kochała jak własnego syna, a miłość jej była tem większą, iż maleństwo od urodzenia okryte było tajemnicą.

Ileż trosk już zaznała, ile niepokojów przeszła! Nie spuszczała go nigdy z oczu i choć najzupełniej wierzyła mamce, z wielkim lękiem zawsze rozstawała się z nim na krótką chwilę.

Pani Dandre była silnie zbudowaną brunetką o matowej cerze i kruczych włosach, ubiór jej nie wyszukany, lecz zawsze w dobrym guście odpowiadał najzupełniej jej stanowisku niezamożnej wdowy. Od chwili gdy jej ukochany mąż Piotr znaleziony został w lesie w kałuży własnej krwi, nie przestawała się ubierać szaro, nosząc żałobę nietylko na zewnątrz lecz i w sercu. Mogła wyjść nieraz za mąż, pozostawała jednak wierną pamięci ukochanego nieboszczyka, zwłaszcza, że jeszcze inne okoliczności,—poświęcenie się małemu Jackowi, utrzymywały ją w powziętem postanowieniu. Jak tłomaczyła ciekawym, rodzice Jacka, jej krewni, musieli na lat kilka wyjechać do Chin w sprawach handlowych i jej powierzyli opiekę nad dzieckiem. Wszyscy w to wierzyli, tymczasem opowiadanie to miało tylko ułatwić zachowanie tajemnicy daleko ważniejszej: ona, wdowa po biednym rządcy lasów, chroniła honor jednej z najsławniejszych rodzin Francyi, chroniła życie i spokój swej protektorki, ukochanej siostry mlecznej, markizy Aurory de Morailles.

Po przejściu kilku ulic pani Dandre weszła do nowego domu, stojącego na uboczu. Wstąpiła powoli na piąte piętro i zatrzymała się przed drzwiami z tabliczką, na której wyryte było: *Lekarka Wiera Niespow*, a pod spodem: *przyjmuje od 1 do 3*. Zadzwoniła i po chwili sama pani domu otworzyła, młoda panna, ubrana w szarą suknię, o jasnych włosach splecionych w warkocze, o bladej kościstej twarzy z płaskim nosem i grubemi wargami i o niebieskich oczach, zimnych i energicznych.

— Ach, to ty Joanno, odezwała się miękkim głosem, a wzrok jej stał się czułym, wejdź, czekałam na ciebie.

Sposób przywitania obu tych kobiet świadczył nie tylko o wzajemnej ich zażyłości, ale i o przyjaźni, jaka je łączyła. Poznały się w tym nieszczęsnym dniu; gdy Piotra Dandre przeniesiono w agonii z lasu do domu. Na ten straszny widok padła na kolana przy łóżku, na którem kończył życie jej mąż. Żal wszystkim serca ścisnął, patrząc, jak ta młoda, silna kobieta wije' się z rozpaczy. Dano znać zaraz do zamku i posłano po doktora. Młoda, smukła kobieta o książęcym wyrazie twarzy, w eleganckiej toalecie, zadyszana od prędkiego biegu, markiza Aurora wpadła raczej, niż weszła do pokoju umierającego. Na widok rannego oczy jej łzami się zaperliły zaraz jednak pohamowała swą nerwowość i zaczęła nakładać opatrunki, obmywając z zaskrzepłej krwi wielką ranę. W chwili tej otworzyły się drzwi i weszła młoda panna w cyklistowskim stroju.

— Jestem koleżanką doktora Morane, który z powodu słabości nie może wychodzić. Przychodzę w jego imieniu, by go zastąpić... Doktorka Wiera Niespow.

Natychmiast nachyliła się nad rannym z błyskiem nadziei w oczach, która jednak zaraz zamarła.

— Pani go uzdrowi! — błagała Joanna.

Wiera Niespow nie odpowiedziała, uczyniła tylko krzyż ręką na twarzy Piotra, z którego uleciało ostatnie tchnienie. Na ten widok Joanna padła omdlała na ręce markizy.

W tych niezapomnianych chwilach one się poznały. Przychodziła Wiera jeszcze następnych dni, by opiekować się wdową, oszalałą z rozpaczy i wówczas zawiązała się między niemi nić przyjaźni. Następie połączył je jeszcze jeden węzeł, pilnie chroniona tajemnica małego Jacka i nieszczęśliwej markizy, dla której miała Joanna uczucia żywej miłości i litości.

— Nic nowego? nic złego? zapytała doktorka po wprowadzeniu swego gościa do skromnie umeblowanego gabinetu.

— Nie, odpowiedziała pani Dandre. Zatelefonowałabym zaraz do ciebie.



....Niema tam nikogo, odezwała się stróżka.

— Jacek zdrów?

— Zdrów, trochę tylko na ząbki cierpi. Jeżeli nie jesteś wieczorem zajęta, możebyś zjadła z nami obiad, a jednocześnie i jego obejrzała.

— Chętnie, odpowiedziała Wiera, która lubiła odpocząć nieraz w zacisznym domu swej przyjaciółki. A z mamki jesteś zadowolona, bo na mnie cięży odpowiedzialność za nią, gdyż ja ją nastręczyłam?

— Najzupełniej; cicha jest, spokojna, uważna, tylko zbyt łatwowierna, co mnie nieraz przejmuje obawą, zwłaszcza w takim mieście jak Paryż, gdzie nieszczęśliwe wypadki czyhają na nas na każnym kroku. Jest ona jak piękne tłuste krowy, które pasące się na łąkach, spoglądają na nas swemi wielkiemi, szerokiemi oczami bez najmniejszego wyrazu.

— To prawda, lecz pomyśl tylko, że mamka z takim charakterem najodpowiedniejsza jest dla Jacka, którego urodzenie okrywa tajemnica. Ileż innych na jej miejscu chciałoby przeniknąć tę tajemną zasłonę, bo każda odczuwałaby poza tymi rodzicami w Chinach jakiś ukrywany sekret.

— Czy istotnie tak sądzisz?... zapytała przestraszona Joanna.

— Bezwarunkowo; ona zaś wierzy w to, co mówisz. A nieraz przychodzi mi na myśl, że twoje mniemanie macierzyństwo może wywołać niebezpieczeństwo, wprowadzić ludzi chcących zrobić zło na ślady, które doprowadziłyby do smutnego dla nas odkrycia.

— Wiero! przestrasz mnie, zawołała Joanna, blednąc.

— Nie mam tego zamiaru. Rozmawiałyśmy o mamce, musiałyśmy wspomnieć i o dziecku. Zresztą nie mówmy o tem, los w takich wypadkach rządzi, nie człowiek.

— Lecz, Wiero, dlaczego mamy obawiać się o to? Przecież dziecku nic nie grozi.

— Narazie tak, lecz co będzie potem? Co uczynisz, by ludzie nie wiedzieli o tem i później? Nie zauważyłaś przypadkiem, czy markiz Morailles nie podejrzewa czego?

— Nie, nic zupełnie.

Może i zbytecznie przejmuję się tem teraz, odparła młoda Rosyanka i wprowadziła rozmowę na inne tory.

W godzinę potem znalazły się przed małą willą na ulicy Longchamp. Zadzwoniły. Przez chwilę nikt nie otwierał, wreszcie ukazała się Bourguignonne, zanosząc się od płaczu. Jakieś straszne przeczucie przejęło obie kobiety.

— Jacek! wyszeptała pani Dandre i pobiegła do dziecka.

I rozległo się łkanie Joanny i mamki, która nie mogąc złapać tchu od płaczu, urywanemi słowami opowiedziała cały wypadek.

— To on z pewnością. Nikt inny, tylko on!... On jeden porwał Jacka! I pani Dandre w tej rozpaczy wypowiedziałaby całą tajemnicę przed mamką, gdyby Wiera, nie zwróciła jej na to uwagi.

Zastanawiając się nad całym wypadkiem, doktorka zwróciła uwagę na wózek.

— Joanno, przyjrzyj się, czy to jest twój wózek.

— Zupełnie taki sam. Chociaż nie... zdaje mi się, że to jest inny. Tamten miał odmienne resory. Lecz dlaczego mnie o to pytasz?

— Ponieważ Ludwika mówi, że oba wózki stały koło siebie i były bardzo podobne.

— A więc?

— A więc mógł tu istotnie zajść tylko wypadek *quiproquo* bez żadnej złej woli i obecnie rodzice tej małej dziewczynki podobnież rozpaczają przed Jackiem.

— Rzeczywiście, to możebne!... Lecz co robić teraz?

— Dać znać do policyi.

— Idę, zaraz idę, odpowiedziała pani Dandre, drżąc nerwowo. Naraz zatrzymała się, a w oczach jej malował się przestrach.

— Lecz to niemożebne!

— Dlaczego?

— Komisarz zażąda imienia dziecka i matki, może metryki! Ah! wszystko na nic! i co ja wtedy mu odpowiem.

— Mów ciszej, odezwała się Wiera, zamykając drzwi do przedpokoju. To prawda. Trzeba w takim razie uprzedzić...

— Kogo? zapytała Joanna.

— Matkę.

— Matkę?... powtórzyła przestraszona.

— Ją pierwszą trzeba uprzedzić i to jest twój obowiązek. Może ona co zaradzi. Posiada daleko więcej możności, niż my.

— A więc dobrze, idę.

— Przez ten czas ja zostanę z mamką, aby nie wygadała się przed kim i aby to się nie rozgłosiło.

— Dziękuję Wiero!

VI.

PRZESZŁOŚĆ MŁODEJ PANNY.

Gdy Joanna Dandre, oniemiała z rozpaczy i przerażona myślą, że musi swojej protektorce wyznać, iż zawiodła jej zaufanie, ponieważ stało się to nieszczęście, podchodziła do stacyi dorożek, markiza Morailles po dniu spędzonym na wizytach, wracała w elektrycznym samochodzie do wspaniałego pałacu przy ulicy de Grenelle.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po katastrofie.

Rozmiary klęski, jaka dotknęła Włochy, w dniu 28 grudnia ubiegłego roku, okazują się, niestety, większymi, aniżeli przypuszczano pierwotnie. Nie ustalono wprawdzie dotąd i bodaj czy kiedykolwiek będzie dokładnie ustalona liczba osób, które w tym dniu fatalnym postradzały życie i jakoteż tych, co później zmarły z ran odniesionych — jednakże ciągle nadpływają z Sycylii i Kalabryi nowe hiobowe wieści, dające coraz dokładniejszy, a coraz silniej targający nerwami obraz straszliwej klęski. Gdy zaś dodamy do tego olbrzymie straty materyalne — to wtedy dopiero będziemy mogli mieć wyobrażenie o niesłychanem nieszczęściu, dotykającem Włochy w chwili obecnej.

Stosunkowo mało posiadamy sprawozdań o samym przebiegu okropnego trzęsienia ziemi w dniu 28 grudnia. Pochodzi to ztąd, że w Messynie, Reggio, Palmi i t. d. uszło z życiem bardzo niewiele osób, a i te nawet są w takim stopniu oszołomione, że trudno z ich opowiadań odtworzyć sobie jego przebieg. Z pomiędzy zaś uratowanych mnóstwo dostało obłąkania, a są i tacy, co popadli w jakąś bezgraniczną apatyę zapomniawszy kogo utracili, a nawet swoich nazwisk.

I rzeczywiście strasznem było położenie wielu osób, co przeżyły katastrofę. Przedewszystkiem bezpośrednio po niej zapanował wśród żywych najokropniejszy głód, bo zapasy miejscowe zostały zniszczone, komunikacya zaś ze światem przerwana. Następnie, ponieważ trzęsienie ziemi zaskoczyło mieszkańców nieszczęsnych okolic we śnie, przeto ratowali się tylko w bieliźnie nocnej i wystawieni byli na deszcz ulewny, który tam właśnie padał przez kilka dni z rzędu. Ale już wprost rozpaczliwem było położenie tych, co albo pogrzebani pod stosami gruzów w śmiertelnej trwodze czekali na ratunek, albo też poranieni przez walące się gruzy, napróżno błagali o pomoc lekarską.

Zanim przywieziono pierwsze środki żywności, zanim zorganizowano jak się należy akcyę ratunkową celem ratowania zasypanych i zanim znalazło się dość lekarzy i środków opatrunkowych, aby módz przyjść z pomocą rannym, upłynąć musiało kilka dni, które dla tych nieszczęśliwych wydawały się wiekiem.

Słuszność nakazuje przyznać, że władze włoskie wzięły się do dzieła energicznie. Zgromadzono w możliwie najkrótszym czasie znaczne oddziały piechoty i pionierów w okolicach nawiedzonych przez trzęsienie ziemi, skierowano także w tamte strony wszystkie rozporządzalne statki wojenne, którym z pomocą przyszły załogi statków angielskich i rosyjskich znajdujących się naówczas w pobliżu. Akcyę ratunkową zaś rozwinięto w trzech kierunkach, a mianowicie rozpoczęto poszukiwania za żywcem pogrzebanymi, zabrano się do opatrywania rannych oraz do przewożenia ich do Palermo, Neapolu, Rzymu i t. d., wreszcie zarządzono masowe

Po katastrofie: Panorama Messyny przed trzęsieniem ziemi; w oddali widać brzeg kalabryjski.



Po katastrofie: Via Cavour w Messynie po trzęsieniu ziemi.



Po katastrofie: Messyna w ogniu, w kilka godzin po trzęsieniu ziemi.

grzebanie zabitych ludzi i zwierząt, których trupy i padlina, rozkładając się nader szybko, zatruwały w niemożliwy sposób powietrze, co wywołać mogło jakąś epidemię.

Wszystkie jednak wysiłki, władz włoskich i żandarmerya wystąpiły energicznie przeciw tym hyenom w ludzkiej postaci. Część ich rozstrzelano bez sądu, część stawiono przed sądy polowe.

Dopiero przybycie pary królewskiej, króla Wiktora Emanuela i królowej Heleny, podziałało bardzo dodatnio na akcyę ratunkową i zdwoiło energię wojska i lekarzy, a zarazem podniosło ducha ocalałych mieszkańców nieszczęsnych wsi miast i miasteczek, których przyszłość na wiele, wiele lat została zniszczona. Przerażający obraz, jaki ujrzała



Po katastrofie: Marynarze włoscy dobywają trupy z pod gruzów.



Po katastrofie: Mieszkańcy Messyny oczekują na wybrzeżu na statki.

i wogóle ludzi dobrej woli, musiały okazać się narazie nie wystarczającymi wobec ogromu klęski. Do tego przyłączyło się zerwanie wszelkich więzów społecznych, do jakiego skutkiem niej przyszło. Z więzień wydobył się spory zastęp zbrodniarzy, którzy wraz z takiemi szumowinami społecznemi, jakich nie brakuje po miastach portowych, zaczęli dopuszczać się ohydnych rabunków w Messynie i Reggio. Rabowano nietylko gruzy domów prywatnych, gmachów rządowych, banków i kościołów, ale obdzierano trupy z kosztowności, dobijano rannych, aby im zdzierać pierścienie z palców, lub wyrywać kolczyki z uszów. Wojsko



Po katastrofie: Prowizoryczne mieszkanie ocalonych mieszkańców Messyny.

przed sobą para królewska w Reggio, Messynie itd. podziałał na nią wstrząsająco. Ani Wiktor Emanuel, ani jego małżonka, nie mogli się od łez wstrzymać na widok siedzib ludzkich zamienionych w gruzy, stosów zwłok zeszpeconych nie do poznania, tysięcy rannych, wygłodniałych i prawie bez odzienia biedaków.

Że i w naszych czasach nie zanikły jeszcze uczucia ludzkości, dowodem współczucie, z którem spotkały się Włochy w całym cywilizowanym świecie po tej niezasłużonej klęsce. Do dnia 10 b. m. składki z Europy i Ameryki przyniosły więcej, niż 30 milionów lirów, oprócz kolosalnej ilości datków w naturze pod postacią konserw, ubrania i t. d., tak, że choć w części może być mowa o powetowaniu strat poniesionych przez osoby prywatne podczas ostatniej katastrofy.

Dotąd pozostaje w zawieszeniu kwestya, czy i jak zostaną, lub nie, odbudowane dwa najwięcej zniszczone miasta, tj. Messyna i Reggio di Calabria. Chociaż wedle pobieżnych obliczeń potrzeba będzie na ten cel, co najmniej olbrzymiej, kwoty 3 miliardy lirów, to zdaje się jednak, że Włochy nie cofną się przed tym wydatkiem, biorąc w rachubę ważność miast wymienionych pod względem handlowym i strategicznym. W danym razie odbudowa będzie odbywała się wedle planu z góry ułożonego i z uwzględnieniem lokalnych warunków, a przedewszystkiem możliwości trzęsienia ziemi. Dawniejszymi czasy, jeszcze za rządów burbońskich, wolno było stawiać domy mieszkalne tylko na jedno piętro i to na bardzo silnych betonowych fundamentach. Później nie przestrzegano tego przepisu, wznoszono słabo zbudowane domy wielopiętrowe, a skutek był ten, że w Messynie ocalał tylko jeden dom i to jednopiętrowy. W Reggio zaś, które było zabudowane przeważnie niskimi domami, ocalały $^{2}/_{3}$ budynków.

* * *

Załączone, bardzo ciekawe, zdjęcia illustrują stan rzeczy w tamtych stronach zarówno przed katastrofą, jak i po niej. Są to wprawdzie fragmenty, lecz wzięte w całości przedstawiają dokładnie grozę sytuacyi. Spodziewamy się, że w najbliższym czasie będziemy w stanie podzielić się z Czytelni-



Po katastrofie: Uciekający z uratowanym dobytkiem mieszkańcy Messyny.

kami szeregiem dalszych zdjęć, odnoszących się do tego kataklizmu, jakiemu równego nie zapisały dotąd dzieje ludzkości.

dowiedziawszy się przed ślubem, iż narzeczony jej którego ubóstwiała, popełnił czyn niegodziwy tak się tem przejęła, że popadła w obłęd. Przez kilka lat pozostawała w tym stanie, aż rozczytując się w Ewangelii napotkała ustęp, który skoncentrował

i osiedli w dzielnicy Whitechapel, siedlisku najgorszych wyrzutków społeczeństwa, a nie zważając na szyderstwa apostołowali bezustannie. W roku 1878 nadali swym zwolennikom organizacyę wojskową, zaprowadzając między misyonarzami i misy-



Po katastrofie: Prowizoryczny stół operacyjny.



Po katastrofie: Dom przepołowiony skutkiem trzęsienia ziemi w Messynie.

Obrazki z południa.

Sieć austryackich kolei żelaznych, bardzo gęsta w środkowych prowincyach monarchi, ku południowi staje się coraz rzadszą. W Dalmacyi np. komunikacya kolejowa jest dopiero w zaczątku, gdyż oprócz linii lokalnej, łączącej Szebenik ze Splitem, istnieje tylko jedyna linia, wychodząca ze Sarajewa, a kończąca się z jednej strony pod Metkowiczem, przy ujściu Narenty do Morza Adryatyckiego, a z drugiej — pod Zeleniką, położoną nad Bocche di Cattaro. Linia ta posiada ogromną doniosłość handlową, a szczególniej strategiczną, daje bowiem jedyny dostęp do tamtejszych okolic, pozbawionych wogóle komunikacyi. Zważywszy obecną naprężoną sytuacyę polityczną, ważność tej linii kolejowej podnosi się znacznie, później bowiem tylko przedostawać się mogą transporty wojskowe od strony lądu do Kotoru i wogóle do tego południowego cypla Dalmacyi, który tak ważną rolę ewentualnie odegra w czasie zbrojnej rozprawy z Czarnogórą. Rycina nasza przedstawia widok tej właśnie stacyi końcowej, tj. Zeleniki, położonej malowniczo nad brzegiem morskim a bezpośrednio u stóp gór niebotycznych.

Na drugiej rycinie oglądamy malowniczy obrazek przedstawiający kawiarnię ludową, zaimprowizowaną w Banjaluce pod odkrytem niebem podczas jarmarku. Banjaluka jest jednym z większych miast bośniackich. Liczy ona koło 15.000 mieszkańców, a w tem więcej, niż połowę mahometan, których interesujące typy widać na tym obrazku. Są oni, podobnie jak cała ludność miejska w Bośni, bardzo niewybredni w zaspakajaniu swych potrzeb życiowych, co się pokazuje z urządzenia tej primitywnej kawiarni. Nad wszystko przedkładają kawę, a ta im nawet w takich warunkach podana bardzo smakuje.

Armia zbawienia.

W r. 1865 założył kaznodzieja metedystów Wiliam Booth wraz z żoną Katarzyną Mumford sektę religijną, zorganizowaną na sposób wojskowy, mającą na celu podniesienie moralne ludzkości i zaciętą walkę z alkoholizmem.

Początek owej sekty jest nader ciekawy. Katarzyna Mumford, osoba nader pobożna i łagodna, jej rozpierzchłe uczucia i myśli i przywrócił jej równowagę umysłową. Towarzysząc matce na zebraniu metodystów poznała wymownego kaznodzieję Wiliama Bootha, którego też w roku 1855 zaślubiła. Ten tak się przejął zasadami swej małżonki, iż począł w kazaniach swych wygłaszać jej zapatrywania skutkiem czego pozbawiono go stanowiska kaznodziei. Puścił się odtąd wraz z żoną i dziećmi na życie tułacze, żyjąc z jałmużny i niosąc nieszczęśliwym pociechę religijną. Żona występowała również z kazaniami, a powodzenie ich rosło z każdym dniem. W ten sposób powstała sekta demokratyczna, zbliżona do kwakierstwa Jana Foxa, znana dziś pod nazwą *New Connexion*. W r. 1866 przenieśli się Boothowie do Londynu



Po katastrofie: Przybycie pierwszych rannych z Messyny do arsenału w Neapolu.

onarkami stopnie, karność i mundury wojskowe Około roku 1880 uczyniła armia wyprawę apostolską do Francyi i Szwajcaryi, lecz bezskuteczną.

Głównem zadaniem członków armii jest wydostanie człowieka z nędzy moralnej i fizycznej, dania mu schronienia i ustalenia jego bytu. Zorganizowano w tym celu czasowe przytułki, tanie kuchnie, biura udzielania pracy, „wzorowe kolonie gospodarcze i zamorskie. Pod względem używania trunków zachowują zupełną wstrzemięźliwość, unikają też czytania książek światowych.

Generałem armii zbawienia jest żyjący dotąd Wiliam Booth, marszałkami zaś jego córka Katarzyna propagatorka idei rodziców we Francyi, Belgii i Szwajcaryi.

W roku 1890 liczyła sekta 2937 korpusów w 32 krajach, 9896 oficerów, 15.000 podoficerów i przeszło dwa miliony członków. Wszyscy okazują generałowi bezwzględne posłuszeństwo. Roczny dochód armii dochodzi do miliona funtów szterlingów i bywa obracany na ulżenie nędzy ludzkiej.



Po katastrofie: Ambulans urządzony przez marynarzy rosyjskich.

Illustracya nasza przedstawia śpiew członków armii na ulicach Chicago. Obecnie zamierza armia zorganizować swe oddziały celem walki z alkoholizmem w Austryi i Rosyi.

Śmierć cudotwórcy.

Przed kilku dniami zmarł w Kronsztadzie jeden z ciekawszych osobników rosyjskich doby współczesnej, słynny duchowny prawosławny Joan Siergiejew, zwany pospolicie ojcem Joanem Kronsztadzkim. Była to postać szczególna. Z jednej strony człowiek niezawodnie obdarzony wielkiemi zdolnościami, a znający, jak nikt, duszę swych rodaków, z drugiej — zaś bardzo sprytny i ambitny działacz, któremu chodziło przedewszystkiem o postawienie swej osobistości na świeczniku, aby stąd ciągnąć duże korzyści natury moralnej i materyalnej.

Joan Kronsztadzki pochodził z gubernii Archangielskiej, urodził się w 1829 r., studya odbył w seminaryum w Archangielsku i w petersburskiej Akademii duchownej. Już w roku 1855 otrzymał miejsce przy soborze św. Andrzeja w Kronsztadzie i na tem stanowisku zakończył życie, dosłużywszy się stopnia „nastojatiela“, który odpowiada, mniej więcej, godności prałata infułata w Kościele rzymsko-katolickim.

Wpływ jego na masy ludu rosyjskiego, który uważał go za świętego i cudotwórcę, był nadzwyczajny. Umiał on ten wpływ wyzyskać i z roku na rok rosła jego popularność nawet w sferach bardzo wysokich.

Jak każdemu tego rodzaju ambitnemu działaczowi na polu religijnem, nie wystarczyły o. Joanowi ramy Kościoła, w którym był duchownym. Założył więc osobną sektę „joanitów“, chociaż formalnie z cerkwi prawosławnej nie wystąpił. Pod płaszczykiem tej sekty działy się rzeczy, obrażające nietylko zdrowy rozsądek, ale i najprostsze zasady moralności.

Blask, jaki otaczał postać Siergejewa zaczął jednak przygasać ostatnimi czasy. Szczególniej ludzie rozsądniejsi odsunęli się od niego, spostrzegłszy—jaką rolę odegrał wobec ruchu rewolucyjnego w Rosyi.

Pogrzeb o. Joana odbył się w Petersburgu z niesłychaną okazałością, a w wielkich masach prostego ludu utwierdziło się przekonanie, że musi zostać urzędownie zaliczonym w poczet świętych. Po jego śmierci znaleziono w mieszkaniu mnóstwo pieniędzy i kosztowności, porozrzucanych po szufladach, biurkach, i szafach. Ile z tego udało się zagrabić indywiduom, które stanowiły jego otoczenie—niewiadomo.



Po katastrofie: Król Wiktor Emanuel wobec rannych, odgrzebanych z pod gruzów.



Śmierć cudotwórcy: O. Joan Kronsztadzki zmarły przed kilku dniami w Kronsztadzie.



Po katastrofie: Widok na Reggio di Calabria przed trzęsieniem ziemi.



Po katastrofie: Zniszczenie na bulwarze nadbrzeżnym w Messynie.

Po katastrofie: Wybrzeże morskie w Messynie po trzęsieniu ziemi.

W bezbrzeżnym szale.

Z zapisków policyjnych zestawił S. K.

2 (Ciąg dalszy).

— Nie znam takich osób!

Karabiński, który wobec widocznego zakłopotania Wiernickiego uczuł się panem sytuacyi, wyrzekł zwolna:

— To jest niemożliwe! Dzienniki przecież w ostatnich dniach bardzo często wspominały to nazwisko z powodu tajemniczego zniknięcia wdowy i córki pozostałych po nim. Przed zaginięciem były u hrabiego Grzymskiego... chyba pan tego nie zaprzeczy?

— Tak jest! Były! — powiedział ledwie dosłyszalnym głosem.

— A gdzie są obecnie? — nacierał coraz natarczywiej Karabiński.

— Nie wiem — brzmiała odpowiedź — nie byłem ich stróżem!

— Przepraszam! Powierzono je panu. Odwiozłeś je pan na dworzec piętnastego grudnia!

— Przyznaję. Odwiozłem obie kobiety na dworzec — odparł głucho indagowany — kupiłem bilety do Złoczowa i później ich już nie widziałem!

— Jednak one nie odjechały wcale — powiedział agent. — One nie były wcale na dworcu.

— E... mój panie! Tego za wiele! — zaoponował Łukasz. — Ja chyba wiem to najlepiej! Nadawałem własnoręcznie pakunki.

— To też pakunki przybyły na miejsce przeznaczenia, a ja proszę pana o adres pań!

— Nie znam go, a zresztą proszę pozostawić mnie w spokoju. Mam pilne zajęcie, gdyż jutro odjeżdżamy — rzekł lokaj zwracając się ku wyjściu.

— Pan wybaczy! Dopóki nie otrzymam adresu zaginionych, ani pan, ani pan hrabia stąd nie wyjedzie!

Te słowa wypowiedziane tonem stanowczym podrażniły sługę hrabiowskiego.

— Jakiem prawem śmiesz mi pan grozić? — zapytał blady jak kreda. — Czy pan jesteś szpiclem policyjnym? Mój pan postara się, aby panu dano porządną lekcyę!

— Mój panie Łukaszu — przemówił agent nieco łagodniej — skończmy raz tę komedyę. Jestem agentem policyi. Jak pan widzisz wiem wszystko i mam rozkaz przyaresztować pana!

— Ależ ja jestem niewinny! Nieszczęście...!

— Ja jestem przekonany o pańskiej niewinności — przerwał agent, korzystając z pomieszania badanego — pozory jednak przemawiają przeciw panu. Dlatego uczynisz najlepiej, wyznając szczerą prawdę! Powiedz, co uczynił hrabia z matką i córką?

— Nieszczęście nawiedziło nasz dom razem z temi kobietami — wyszeptał lokaj — pan hrabia przez nie postradał zmysły, stał się zbrodniarzem i mnie za sobą pociągnął!...

WYZNANIE SŁUGI.

— Przed dwoma miesiącami — zaczął mówić Łukasz Wiernicki, usiadłszy na krześle naprzeciw Karabińskiego — powróciliśmy z Włoch na kilkutygodniowy pobyt do Lwowa, mój pan bowiem corocznie o tym czasie tu przybywa, a to w tym celu, aeżby w ostatnich tygodniach roku uregulować swoje liczne rachunki z dzierżawcami, dostawcami, kupcami, słowem, ażeby zamknąć roczny bilans.

— Z końcem listopada, lub też w pierwszych dniach grudnia oznajmił mi, iż przybędą goście — dwie damy. Dla objaśnienia dodał, iż jest to żona i córka jednego z jego dobrych znajomych, obywatela z pod Złoczowa, który umarł przed kilkunastu dniami. Ponieważ te panie miały zabawić w pałacu kilka dni, rozkazał mi poczynić odpowiednie przygotowania.

— Jakoż rzeczywiście w dwa dni później oczekiwane przybyły. Pan hrabia oczekiwał na nie w pałacu, ja pojechałem po nie na dworzec.

— Przywiozłem obydwie.

— Pan hrabia przyjął je bardzo serdecznie a i mnie panie bardzo się podobały. Starsza pani, osoba niewymuszona, bez grymasów wielkopańskich, bardzo mi przypadła do serca. Młodsza zaś, muszę to przyznać, formalnie oczarowała mnie... — tu przerwał mówiący i ciężko westchnął.

Agent nie przerywał, patrzył w bladą twarz zeznającego i czekał cierpliwie.

— Nietylko mnie piękność młodszej wprawiła w zachwyt, ale i pana hrabiego. Lat mogła mieć mniej więcej ośmnaście, ślicznie zbudowana, twarzyczka świeża, oczy cudowne, fiołkowe, a włosy... nigdy takich nie widziałem, długie, niby płaszcz królewski, jedwabiste, falujące. Pan hrabia, który w świecie chyba widział mnóstwo ładnych kobiet, nie tail swego zachwytu i to tak dalece, iż wieczorem, gdy obie panie odeszły do swoich pokoi, zauważył do mnie:

— Śliczna dziewczyna!

— Przy tych słowach oczy jego przybrały jakiś dziwny ogień i blask, jakich dotychczas u niego nie widziałem nigdy. Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się nad tem wcale, bo proszę pana, młoda, ładna dziewczyna i zgrzybiałego starca podniecić jest w stanie. Następne dni przyniosły jednak nowe komplikacye.

— Pan hrabia się zupełnie odmienił. On, który lubił siedzieć w kasynie, grać późno w noc w karty, nie wychodził prawie z pałacu, chyba wtedy, gdy panie wychodziły do miasta za swojemi sprawami. Zdziwiony taką nagłą zmianą nawyczek mojego pana, lękałem się i czułem jakąś nieokreśloną trwogę.

— A nuż mój pan zakocha się i ożeni? — pytałem się często w duchu.

— Myśl ta, przyznaję otwarcie, niepokoiła mnie, nie życzyłem sobie bowiem odmiany dotyczasowych stosunków. Gdyby pan hrabia się ożenił, moja pozycya doznałaby zmiany na gorsze, nie byłbym nadal powiernikiem i przyjacielem pana hrabiego. Tak jest, bojaźń przed utratą wpływu i stanowiska usposobiły mnie nieprzychylnie dla panny Heleny.

— A więc na imię jej było Helena — wtrącił agent.

— Tak — szepnął lokaj — nieszczęśliwa nazywała się Helena!

Milczał długą chwilę, wreszcie zbierając cały zapas energii, przemówił z rezygnacyą:

— Nie będę panu opowiadał wszystkich szczegółów, wystarczy, jeżeli powiem, iż najczulszy ojciec, kochanek, narzeczony, bledną wobec hrabiego. Obie panie miały w nim opiekuna, ojca, brata — odgadywał każdą ich myśl, skinienie panny Heleny było dla niego rozkazem, a uśmiech jej ust, spojrzenie jej oczu, najwyższą były dla niego rozkoszą. Z niecierpliwością czekałem dnia ich odjazdu....

— I doczekałeś się go pan? — zapytał mimowolnie agent.

Opowiadający nie słyszał jednak pytania, ciągnął jeno dalej:

— Panie wieczorem przy kolacyi zapowiedziały, iż wyjadą nazajutrz. Nie byłem świadkiem dalszej rozmowy, nie wiem, czy pan hrabia prosił, ażeby pozostały, pamiętam tylko, że wszyscy udali się na spoczynek około godziny jedenastej. Nazajutrz rano nakryłem, jak zwykle, do kawy i czekałem na pana hrabiego. Minęła godzina ósma, dziewiąta, a jego nie było. Zaniepokojony udałem się do sypialni, do gabinetu, nigdzie go nie było. Poszedłem na górę do salonu pań.

— I tam nikogo nie znalazłem. Jakaś trwoga i bojaźń szalona mną owładnęła. Nie zważając na nic, zapukałem do sypialni panny Heleny.

— Nikt nie otwierał, pocisnąłem za klamkę.... w pokoju nie było żywej duszy.

— Zdecydowany na wszystko zapukałem do drzwi, prowadzących do łazienki. I tu zalegała grobowa cisza. Zawołałem:

— Na miłość Boga! Proszę się odezwać! Gdy nie usłyszałem odpowiedzi, pchnąłem drzwi i....

— Mów pan dalej! — nalegał agent, patrząc w bladą twarz widocznie wyczerpanego sługi.

— Panna Helena całkiem obnażona leżała na wznak, blada, nieruchoma, obok marmurowej wanny. Naprzeciw niej stał pan hrabia i patrzał przed siebie tak, jak patrzą waryaci.

— Co ja wtedy zrobiłem, czy krzyczałem, czy też rzuciłem się na pana hrabiego, nie wiem, nie pamiętam...!

Gdy oprzytomniałem, pan hrabia ściskał gwałtownie moje ręce i powtarzał:

— Milcz! Milcz!...

Wskazałem na leżącą na podłodze pannę Helenę, a wtedy pan hrabia wyrzekł, puszczając moje ręce:

— Ona nie żyje!

Po chwili dodał:

— Ja ją zabiłem!

Osłupiałem, stanąłem jak wryty, bałem się ruszyć, oczom swoim nie wierzyłem.

Pan hrabia również nieruchomy powtórzył:

— Tak jest! To ja ją zabiłem! Dlaczego? Nie wiem! Byłem szalony! Jaka ona była piękna.... królowa między dziewicami. Ujrzałem ją odzianą boską nagością, jak złodziej czatowałem na nią! Rzuciłem się ku niej, ona mnie odtrąciła, chciała wołać o pomoc.... chwyciłem ją za gardło! A! ha! ha!.... I pieściłem ją, ściskałem, dusiłem... dusiłem tak silnie, aż padła u moich nóg!

— Pokonałem królewnę!

— Podniosłem jej głowę, ażeby zwyciężoną uczcić! Ha! ha! ha!.... Nie zwyciężyłem, ale zabiłem ją! Słyszysz Łukaszu... zabiłem ją!

Zimny pót oblał moje skronie, przetarłem oczy, padłem na kolana przed leżącą. Niestety, pan hrabia mówił prawdę, panna Helena nie żyła!

Bezradny, złamany, rzuciłem szeptem pytanie:

— A starsza pani gdzie?

— W kościele — brzmiała głucha odpowiedź.

— Kiedy wróci?

— W tej chwili — odparł pan hrabia.

Cisza złowroga zapanowała w pokoju, słyszeliśmy bicie naszych serc.

— Umarła! Nie żyje! Ja ją zabiłem! — zawołał ponownie pan hrabia i niby bezradne dziecko spojrzał na mnie.

— Panie hrabio — szepnąłem — trzeba ją ukryć.

— Gdzie? Jak?

— W ogrodzie, w piwnicy! — odparłem.

— Co to pomoże? Ja ją zabiłem! Wszyscy będą o tem wiedzieli. Biedna matka!

— Ją także trzeba usunąć — wyrzekłem, nie zdając sobie sprawy z tego co mówiłem.

— Chcesz ją zabić? — zawołał gwałtownie pan hrabia.

— Broń Boże! Tylko usunąć, zamknąć przed ludźmi!

— Gdzie?

— Na wsi, w którymkolwiek dworze!

— Ależ ona absolutnie nie ustąpi, będzie wołać i krzyczeć o zemstę i karę nadenną!

— Siłą ją zmusimy.... ubezwładnimy!

Hrabia nic nie odpowiedał, stał z pochyloną głową, żywy trup obok nieżyjącego.

Z wielkim trudem udało mi się wreszcie wyprowadzić go z łazienki.

— Ratuj mnie — szepnął — po królewsku cię nagrodzę!

Wziąłem się gorączkowo do dzieła, dla świata zginęły matka i córka.

— Pan przecież matki nie zabiłeś? — przerwał agent, siląc się na spokój.

— Starsza pani jest na Podolu. Uśpiona przezemnie została tam wywiezioną. Panie! co ja wycierpiałem przez te dni, opisać nie jestem w stanie! Za żadne skarby świata nie chciałbym po raz wtóry przechodzić tych mąk!

Ukrycie trupa i wywiezienie matki nie przedstawiało wielkich trudności, cięższą była sprawa upozorowania odjazdu obu kobiet z pałacu.

Szatan podsunął mi myśl, która wydawała mi się wówczas genialną. Pojechałem na dworzec, zakupiłem dwa bilety do Złoczowa i nadałem kufry, panu hrabiemu zaś poleciłem, ażeby policyę zawiamił o zagadkowem zniknięciu matki i córki.

I wszystko byłoby się dobrze skończyło, gdyby nie policya. Skutkiem jej poszukiwania sprawa stała się głośną i mój nieszczęśliwy pan ciężko odpokutuje za chwilę szału.

Zaręczam panu, straszny ten czyn popełnił w obłędzie, on nie jest zbrodniarzem, nad nim trzeba się litować! On nie przeżyje hańby aresztowania! Całą winę chciałbym wziąć na siebie, gdyby to można! Jak pan sądzi? — spytał naiwny sługa agenta.

— Prawda powinna być zbadaną — odparł agent — losy winnych złóżmy w ręce Boga!

— Tak! Bóg niech nas sądzi — powtórzył Łukasz głucho. — Czy chcesz pan widzieć się z panem hrabią? Prawdopodobnie wrócił już.

— Dobrze!

HRABIA i AGENT.

Karabiński, zdenerwowany opowiadaniem lokaja, szedł za nim zamyślony, zadając sobie w duchu pytanie, czy i o ile zeznania sługi są prawdziwe, nie wierzył bowiem, ażeby człowiek tak dystyngowany, jak hrabia Grzymski, był zdolny do tak brutalnego czynu.

Przeszli kilka pokoi wspaniale i gustownie umeblowanych, cisza grobowa wszędzie zalegała. Łukasz zapukał w jadalni do małych drzwi, mówiąc:

— Tam jest kancelarya!

Drzwi się otwarły, a w progu stanął hrabia. Agent cofnął się, był to bowiem jakiś upiór, a nie człowiek. Twarz blada, oczy zapatrzone w dal, pięści zaciśnięte i usta, szepczące jakieś niezrozumiałe wyrazy, nie odpowiadały wyobrażeniu, jakie agent miał o tym bogatym arystokracie.

— Proszę pana hrabiego.... — przemówił trwożliwie sługa.

— Czego chcesz? A ten pan — zapytał patrząc na przybyłego — kto on?

Agent zbliżył się.

— Jestem Karabiński!

— Karabiński, agent policyi! — zawołał strasznym głosem hrabia. — Jestem zgubiony!

— Nie.... może uratowany!

— Uratowany? To niemożliwe!

— Proszę pana hrabiego — wtrącił Łukasz — pan Karabiński już wie o wszystkiem, może będzie mógł cośkolwiek pomódz!

— To i lepiej! Lepiej!.... Wszystko się skończy! — mówił hrabia nie zważając na obecnych. — Jakie straszne godziny przeżyłem, ach, jakie straszne! Zabijcie mnie, miejcie litość nademną!

Rzucił się na fotel i głośno zapłakał.

— Trzeba raz skończyć! To lepiej... Nie miałem odwagi zabić się, teraz, gdy wszystko odkryte, skończę ze sobą. Nie.... nie.... ja nie chcę pójść do więzienia.... zabijcie mnie....!

Zapadł w milczenie.

— Tak! — wybuchnął ponownie — zabiłem ją! Zabiłem bez zamiaru, bezwiednie...! Ach, gdybym mógł własną krwią przywrócić ją do życia! Ale niestety... ona umarła... ja ją zabiłem! Pan jako urzędnik policyjny chcesz pewnie wiedzieć, dlaczego to uczyniłem. Czterdzieści lat przeżyłem w spokoju, szanowany i lubiany... Kobiety żadnej nie kochałem. Miałem ich tyle, ile zapragnąłem, złotem płaciłem za ich uśmiechy i pieszczoty! Śmiałem się, czytając lub słuchając opowiadania o ludziach, którzy zabijali się z miłości. Nie wierzyłem w cierpienie z miłości!

Jedyną namiętnością, którą rozumiałem, była gra w Monaco, Monte Carlo, a i tam umiałem nerwy swoje trzymać na wodzy.

Nieszczęśliwa gwiazdaizda sprowadziła na drogę mego życia to dziecko!

Przesycony modnemi kurtyzanami odmłodniałem, patrząc w oczy tej biednej dzieciny. Pragnąłem ciągle mieć ją przy sobie, czuć zapach jej ciała! Oszalałem, padałem na kolana przed fotelem, na którym ona siedziała, ślady jej stóp całowałem.

Stała się dla mnie posłanniczką niebios, zwiastunką nowego życia. Byłem wobec niej nieśmiały, jak młody studencik.

Małżeństwo z nią było mojem marzeniem, chciałem otworzyć raj na ziemi i dla niej i dla siebie. Niestety, zapomniałem o różnicy wieku! Ona rozkwitająca różyczka, a ja człowiek dojrzały, a może i przejrzły. Była dla mnie uprzejmą, serdeczną, grzeczną szanowała mnie, jak starego przyjaciela zmarłego ojca.

A jednak łudziłem się, szalony! Myślałem, że moje bogactwa olśnią ją, żyłem tą nadzieją przez dwa tygodnie. W wigilię odjazdu napomknąłem nieznacznie o przyszłości biednej Heleny. Matka wówczas zwierzyła się, iż serduszko Heleny zajęte jest pewnym młodym człowiekiem z sąsiedztwa, i że ma podstawę do przypuszczenia, iż córka mu sprzyja.

Wiadomość ta sparaliżowała mnie, przez całą noc ani oka nie zmrużyłem.

Ujrzałem, iż wszystkie moje marzenia prysły niby bańka mydlana, rozpacz i szał bezbrzeżny targały mą duszę.

Chciałem rano wyznać matce moją miłość, błagać ją o wstawiennictwo u córki, lecz myśl tę zarzuciłem. A może lepiej wprost córce wyznać, jakiem uczuciem dla niej zapałałem? Miotany tymi sprzecznymi zamiarami, mechanicznie poszedłem na górę. Gnany jakąś nieprzepartą siłą, zapukałem do drzwi Heleny. Gdy nikt się nie odezwał, wszedłem do pokoju.

Z niedomkniętej łazienki doszedł mnie głos Heleny:

— Czy to ty, mamusiu?

Głos ten cudowny rozpętał moją namiętność! Pchnąłem drzwi, ujrzałem cud i w jednej chwili padłem na kolana.

— Heleno! — zawołałem.

Ona krzyknęła przeraźliwie i nieubrana rzuciła się ku drzwiom. Oszalały, chwyciłem ją za ręce i ściskając je mocno szepnąłem:

— Heleno! wysłuchaj mnie na Boga!

Broniła się jednak i wyrywała, oczy jej ciskały gniewne pioruny, a mnie jakiś zły duch spętał, nie chciałem jej uwolnić.

— Ja cię kocham, Heleno! Bądź moją żoną, jestem bogaty. Wszystko, wszystko będzie twojem!

Zaklinałem ją, nie pamiętam, co mówiłem, była to chwila zupełnego zapomnienia. Przypominam sobie, iż błagała mnie, ażebym ją puścił, a gdy prośby nie skutkowały, łkając powiedziała:

— To jest niegodziwe! podłe!

Słowa te podrażniły mnie. Chwyciłem ją pod gardło i ściskałem, bo chciałem ją przekonać, iż musi być moją! Palce moje wpijały się w to cudne ciało, rozkosz niewypowiedziana napełniała me piersi. Biedactwo wołało o pomoc, płakało głośno, potem coraz ciszej, aż wkońcu upadła u mych stóp.

Łoskot padającego ciała oprzytomnił mnie, poznałem w jednej chwili całą ohydę mego postępowania. Niestety — zapóźno!



Panna Helena całkiem obnażona leżała na wznak, blada, nieruchoma, obok marmurowej wanny. Naprzeciw stał pan hrabia.

— Zabiłeś ją! — w uszach mi huczało. — Morderco na szubienicę! Hańba! — rozlegało się koło mnie tysiącznymi głosy.

— Strasznej tej męczarni położyło kres wejście Łukasza.

— Podły, stokroć podły, zamiast własną krwią zapłacić natychmiast za winę, usiłowałem się ratować, ściągnąłem podejrzenie na niewinnego człowieka.

— Panie Karabiński! Czy doktór Ziółkowski aresztowany? — zapytał, przerywając swe ponure wynurzenia.

— Panie hrabio! — odpowiedział agent głęboko poruszony — Ziółkowski nie jest i nie będzie aresztowany!

Hrabia Grzymski wyczerpany padł na fotel i osłupiałym wzrokiem patrzał na obecnych.

POKUTA.

Minuty mijały za minutami, żadna z trzech osób nie miała odwagi przerwać strasznej ciszy. Wszyscy czuli, iż zemsta, straszna zemsta, niewidzialnymi krokami zbliża się ku nim, wypełnia pokój.

Nie podnosząc oczu, hrabia rzucił lękliwe pytanie:

— Co pan zamierza ze mną uczynić?

Karabiński odrzekł:

— Obowiązek nakazuje pana aresztować, aczkolwiek, zaznaczam to, panie hrabio wyraźnie, jestem przekonany o pańskiej niewinności. Prawo jednak jest twarde.

— O tak! Hańby i sromoty uwięzienia nie mogę uniknąć, piętno mordercy na zawsze zostanie na mem czole, splugawiłem czyste imię przodków moich. A nawet, gdyby i trybunał mnie uwolnił — ciągnął hrabia — pozostaje matka. Serce matki wołać będzie o zemstę i zapłatę za zniszczenie młodego życia. Nic! nic mnie nie wyratuje! Czemuż nędzny nie położyłem kresu tym strasznym męczarniom, krwawą ofiarą należało honor ratować!

Karabiński nerwowo przesunął ręką po czole, ważąc jakieś zamiary

— Panie hrabio! — rzekł — w Bogu nadzieja, może być, że uratujemy pana! Na razie mogę zapewnić, iż cześć i honor pański nie będą naruszne.

Hrabia podał rękę agentowi, Karabiński ścisnął ją serdecznie i powiedział!

— Proszę mi przyrzec, iż ani pan, ani pan Łukasz nie opuścicie pałacu aż do mego powrotu.

Hrabia popatrzył z niedowierzaniem na agenta i wymówił poważnie:

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny za względy i zapewniam pana, iż o ucieczce wcale nie myślę. Kielich goryczy wychylę aż do dna.

. . . .

Agent nie zwlekając ani chwili pojechał do gmachu dyrekcyi policyi.

Dyrektor z naprężoną uwagą wysłuchał relacyi agenta, a opis strasznej tragedyi i obraz obecnego stanu hrabiego widocznie go poruszyły.

Ukończywszy relacyę poprosił agent swego szefa o dalsze instrukcye.

Dyrektor spojrzał zdumiony na Karabińskiego.

— Gdzie jest hrabia? — zapytał.

— U siebie.

— A jego powiernik?

— Również w pałacu.

— Kto ich strzeże?

— Nikt!

— Oni zbiegną!

— Hrabia dał słowo honoru, iż nie wyjdzie z pałacu!

— I pan mu uwierzyłeś? Słowo honoru mordercy? Nie przypuszczałem, iż będziesz pan tak naiwny!

— Pan radca rządu wybaczy, ale ja jestem głęboko przekonany, iż hrabia nie kłamał. Są chwile, w których człowiek nie kłamie!

— Tym razem postąpię według mego uznania. Komisarz inspekcyjny z agentami pójdzie do pałacu.

— Ażeby przyaresztować hrabiego? — odważył się zapytać agent.

— Niezawodnie! Morderca nie powinien ujść bezkarnie.

— Sprawiedliwości stanie się zadość. Hrabia nie przeżyje hańby swego czynu!

— Cóż pan zamierza, panie Karabiński?

— Pozostawić hrabiego w spokoju!

— Lokaja także? Wspólnika zbrodni? Nie to niemożliwe! Nie mogę się na to zgodzić!... Co się dzieje z matką? Wszak i o niej trzeba pomyśleć!

— Powiernik hrabiego pojedzie ze mną, uwolnimy ją, i...

— Powiecie jej, że hrabia zamordował jej córkę.

— Nie! Powiemy jej, że córka nagle umarła i że hrabia, bojąc się o nią, wobec niedawnej boleści z powodu śmierci męża, wywiózł ją na wieś.

— Panie Karabiński! Jak widzę, to pan chcesz zatuszować całą sprawę?

— Nie! Bóg mi świadkiem! Pan dyrektor zechce rozważyć! Ja pragnąłbym tylko uniknąć niepotrzebnego rozgłosu, ochronić cześć i dobre imię Grzymskich! Wstrzymajmy się z aresztowaniem tydzień lub dwa, gazety przestaną pisać o tym wypadku, opinia publiczna zajmie się czem innem, wówczas bez rozgłosu skierujemy sprawę na właściwe tory. Odpowiedzialność za pobyt hrabiego tutaj biorę na siebie.

Dyrektor chciał coś przemówić, nerwowo chodził po pokoju, wreszcie przystanął przed agentem i rzekł:

— Nie! Sprawa jest zanadto ważną i odpowie-

działność za wielką! Nie mogę działać na własną rękę. Argumenty pańskie są trafne, ale czy podzieli je prokurator? Panie Karabiński! Idź pan do hrabiego i czekaj moich rozkazów. Ja przedłożę stan sprawy Ekscellencyi i porozumię się z nadprokuratorem.

. . . .

Agent bezzwłocznie pobiegł do pałacu. W loży portyera czekał nań Łukasz.

— Przyszedłeś pan za późno!

— Jak? Dlaczego?

— Pan hrabia uprzedził sprawiedliwość. Pójdź pan za mną.

Poszli przez szereg pokoi aż do sypialni hrabiego.

— Nie wierzył, iż ratunek jest możliwy — mówił po drodze sługa — i skończył swoje męczarnie. Patrz pan! — rzekł otwierając drzwi — leży na łóżku. Gdyś pan odszedł, rozmawiał ze mną kilka chwil, a potem kazał mi odejść, mówiąc, iż się chce przespać. Ociągałem się. Zniecierpliwiony powtórzył rozkaz, dodając:

— Tylko Bóg jeden może mi dopomódz! Wyroki Jogo są niezbadane!

Wyszedłem, pan hrabia zamknął drzwi na klucz. Tknięty jakiemś złem przeczuciem zostałem przed drzwiami. Długo nie czekałem! Za drzwiami rozległ się strzał, a gdy wpadłem do pokoju, pan hrabia leżał na posadzce. Oddychał jeszcze, posłałem po doktora. Ułożyłem biedaka na łóżku, on ścisnął moją rękę i szepnął ledwie dosłyszalnie:

— Ratuj mój honor! moją cześć!

Doktór nic nie pomógł, skonał na moich rękach.

— Prośba twoja, biedna ofiaro, będzie spełnioną! — rzekł agent.

Długo wpatrywał się w martwe oblicze i szeptał modlitwy za umarłych. Usunąwszy się do sąsiedniego pokoju, czekał Karabiński na rozkazy szefa, rozmyślając nad zmiennością losów. Zmarły, człowiek bogaty, wpływowy, w sile wieku, zginął nędznie, okupując swojem życiem chwilę bezbrzeżnego szału.

ROZPACZ MATKI.

Panią Ziółkowską wywieziono do jednego z licznych folwarków hrabiego Grzymskiego, tuż nad granicą.

Zaufani ludzie objęli dozór nad nią. Odcięto ją zupełnie od świata, strzeżono każdy jej krok i baczono ściśle, ażeby żaden list, żadna gazeta do jej rąk nie doszła.

Biedna kobieta zrazu nie umiała sobie zdać sprawy ze swojego położenia, przejścia ostatnich tygodni wyczerpały ją zupełnie. Stała się apatyczną, niedołężną. Usiłowała zawiązywać rozmowę ze sługami, ale wszelkie jej wysiłki w tym kierunku były bezowocne. Pytania o Helenę, o hrabiego, zbywano lakonicznem: „Nie wiemy!“ lub: „Pan hrabia wszystko wyjaśni“.

Mózg wdowy pracował usilnie nad rozwiązaniem tej zagadki. Usiłowała zbiedz, ale widząc bezowocność swoich zabiegów, postanowiła cierpliwie czekać, szukając ukojenia w modlitwie, błagając Boga o opiekę nad osieroconą Heleną.

. . . .

Karabiński i Łukasz, przybywszy na folwark, kazali się wprowadzić do pokoju pani Ziółkowskiej. Zastali ją zatopioną w modlitwie. Łukasz, ujrzawszy jej bladą twarz, na której cierpienia wyżłobiły głębokie bruzdy, nie mógł wykrztusić ani słowa. Wyręczył go Karabiński. Podszedł do modlącej się kobiety i rzekł:

— Dzień dobry pani!

Ziółkowska spojrzała nań obojętnie, dopiero na widok jego towarzysza ożywiła się.

— Łukaszu! — zawołała — powiedzcie mi gdzie jest moja córka? Gdzie jest pan hrabia? Dlaczego rozłączył mnie z moją jedynaczką?

Łukasz milczał uporczywie, utopiwszy błagalny wzrok w agenta.

Ten powiedział:

— Bóg niech pani doda sił! Stało się wielkie nieszczęście!

Wdowa podniosła się nagle z klęczek, a z piersi jej wydobył się straszny okrzyk.

— Moja córka!.. gdzie ona? Umarła? Ludzie! mówcie!

— Uspokój się pani! Błagam!

— Ludzie oddajcie mi córkę! Ja muszę ją widzieć! Gdzie ona jest?

Kurczowo chwyciła agenta za ramię i wołała:

— Łotry! podłe łotry! Zabiliście moją jedynaczkę! Powiedzcie prawdę. Umarła?.... Ha! ha!.... Umarła?.... Zabiliście ją mordercy! Oddajcie mi ją! Muszę ją mieć!

Bezradni patrzyli po sobie agent i lokaj, czując, iż serca matczynego nie oszukają. Napróżno szukali odpowiednich słów, nie przemówili ani słowa.

— Powiedz pan, na Boga żywego, co się stało z moją córką. Zniosę wszystko, tylko powiedzcie prawdę. Przecież była zdrową! Dlaczego usunęliście mnie, matkę? Gdzie jest hrabia?... Muszę go widzieć!...

— To niemożliwe! — wymówił z trudem agent.

— Kobieta wpiła swe oczy w mówiącego.

— Więc ten nikczemnik porwał moją córkę! Shańbił... zbeszcześcił moją jedynaczkę! O ja nieszczęsna, ślepa matka! Teraz widzę jasno... Stary rozpustnik uwiódł moją dziecinę. Ale Bóg sprawiedliwy odda mi go w ręce, serce wydrę mu z piersi!...

Energicznym ruchem ręki odtrąciła agenta i gorączkowo poczęła się ubierać.

Karabiński, któremu krew ścięła się w żyłach, postanowił działać, nie chcąc dopuścić do nowego nieszczęścia.

— Bóg uprzedził panią — wymierzył winowajcy karę! Hrabia nie żyje!

— Nie żyje?

— Zastrzelił się!

— Boże... Boże!... — krzyknęła i omdlała padła na ziemię.

. . . .

Wątłe jej zdrowie zostało podcięte tylu ciężkimi ciosami, ciężka choroba mózgowa wyniszczyła ją do szczętu.

Sztuce lekarskiej i troskliwej opiece dra Ziółkowskiego, udało się przywrócić nieszczęśliwą do życia, umysł jej jednak został na zawsze przyćmiony. Modliła się ciągle o zbawienie duszy, i przebaczenie dla hrabiego i o powrót Heleny, śmierć jej bowiem została dla niej tajemnicą.

Łukasz Wiernicki, który z przywiązania do swego chlebodawcy, stał się współwinnym zbrodni i musiałby był odpowiadać za swój postępek przed kratkami sądowemi, uprzedził także wymiar sprawiedliwości ludzkiej. W powrotnej drodze do Lwowa, tłómacząc się silnym bólem głowy, opuścił przedział, w którym siedział razem z Karabińskim i wyszedł na pomost wagonu. W chwili, gdy pociąg, pędząc całą siłą pary, mijał się z kuryerem idącym od strony Lwowa, rzucił się pod koła przechodzącego pociągu i znalazł śmierć na miejscu.

Zniknięcie panny Heleny Ziółkowskiej pozostało dla świata tajemnicą, również i śmierć hrabiego Grzymskiego komentowano w różny sposób, dopóki inna sensacya nie zwróciła na siebie uwagi i nie pogrążyła smutnego zajścia we mgle zapomnienia. —

KONIEC.

Władysław Floryański.

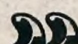
W dniu 10 b. m. lwowski świat muzyczny obchodził uroczyście ćwierćwiekowy jubileusz pracy na scenie jednego z najtęższych polskich śpiewaków, znanego dobrze — oprócz Lwowa — w Krakowie, Warszawie i Pradze, Władysława Floryańskiego. Daną była dnia tego „Halka“, w której jubilat odśpiewał, jak zwykle, w sposób mistrzowski wdzięczną choć trudną partyę Jontka. Licznie zgromadzona publiczność, wśród której nie brakowało ani jednego z wielbicieli talentu sympatycznego artysty, urządziła mu po drugim akcie gorącą owacyę. Na scenie ukazał się dyr. Ludwik Heller w otoczeniu wszystkich artystów opery i przemówiwszy w serdecznych słowach do Floryańskiego, wręczył mu srebrny wieniec. Następnie zabrał głos p. Ludwig i ofiarował mu w imieniu kolegów wieniec wawrzynowy i cenny pierścień w upominku. Dalej wręczono artyście cenne upominki i wieńce od wielbicieli tak ze Lwowa, jak i ze wszystkich dzielnic polskich. Wśród mnóstwa pism i telegramów gratulacyjnych nie brakło także pisma od reprezentacyi miasta Pragi, gdzie Floryański po swoim 13-letnim pobycie zostawił jaknajlepsze wspomnienia. Jednem słowem w dniu wzmiankowanym uczyniono wszystko, aby uczcić dwudziestopięciolecie pracy znakomitego artysty-śpiewaka.



Władysław Floryański.

Przypominamy przy tej sposobności, że Floryański, właściwie jego nazwisko brzmi Kohman, jest rodowitym lwowianinem, a w młodości był urzędnikiem pocztowym. Talent swój śpiewacki odkrył przypadkiem, wystąpiwszy pewnego razu na koncercie amatorskim. Szybko jednak wybił się na skończonego artystę. Już w roku 1855 śpiewa główną partyę w „Konradzie Wallenrodzie“ Żeleńskiego i w „Jadwidze“ Jareckiego a w rok później w Noskowskiego „Liwii Quintilii“, oraz w „Daliborze“ Smetany. W roku 1887 przeniósł się Floryański do Pragi na stanowisko tenora bohaterskiego do „Narodnego Divadła“. Pozostał tam, uwielbiany przez Czechów do 1900 roku, poczem został w warszawskiej operze reżyserem. Po czterech latach powrócił do rodzinnego Lwowa, skąd podjął artystyczną wycieczkę do Stanów Zjednoczonych. Od zeszłego zaś roku objął reżyseryę lwowskiej opery.

Miarą pracowitości Floryańskiego, która obok wielkiego talentu zapewnia mu pierwszorzędną markę wśród polskich śpiewaków, jest fakt, że w ciągu swej karyery artystycznej, kreował przeszło ośmdziesiąt partyj operowych, co niewielu śpiewakom było danem i to kreował w sposób świadczący o jego wysokiej inteligencyi artystycznej.



Kronika tygodniowa.

(Jeszcze o trzęsieniu ziemi. — Polityczny kadryl. — Fejletonista od siedmiu boleści. — Błoto. — Sytuacya wewnętrzna — Dwa zjazdy. — Gadatliwość niemiecka. — Landwera. — Sprawy szkolne. — Sokół).

Ostatnie trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło prowincye włoskie, dało się i daje się ciągle w swych skutkach odczuwać na całym kontynencie, szczególniej w kwestyach politycznych. Seismografy polityczne t. j. dzienniki wszelkich odcieni, notują powtarzające się ciągle wstrząśnienia, rzecz naturalna, głównie na półwyspie Bałkańskim, który jest najbliższym sąsiadem Włoch. Obecnie oczy całej Europy zwrócone są w tamtą stronę, a każdy z natężoną uwagą śledzi przebieg kadryla politycznego, odtańczonego w dwie pary (układu znanego baletmistrza króla Edwarda). Pierwszą parą, która tańczyć zaczęła, stanowi wielki wezyr wraz z margrabią Pallavicinim, jako vis à vis mają Milowanowicza i hrabiego Forgacha. Pierwsza para zajęta w czasie tańca rozmową, naturalnie o bojkocie austryackich towarów na Wschodzie. Pan Pallavicini gniewa się na Turków, wielki wezyr go uspokaja, obiecuje poprawę, pan Pallavicini obiecuje odjechać, wezyr chwyta go za połę fraka, jak ongi pani Putyfarowa niewinnego Józefa. Druga para prowadzi rozmowę więcej seryo. Pan Milowanowicz bawiąc w swej dyplomatycznej podróży w Berlinie, zaraził się w tamtych stronach panującem epidemicznie gadulstwem politycznem i puściwszy wodze swemu językowi, spsioczył Austro-Węgry, że zepchnęły ludność dwu krajów do rzędu niewolników. Rzecz prosta hr. Forgach ujął się za swą ojczyzną, a p. Milanowicz skręcił koziołka i oświadczył, że gazety podały fałszywie tekst jego przemówienia, a on bardzo żałuje, że wynikło stąd nieporozumienie. I hr. Forgach groził, że podobnie jak kolega Pallavicini wyjedzie, ale i on został na miejscu.

A bojkot jak był, tak i dalej trwa, Austrya ma podobno zapłacić Turkom 54 miliony koron odszkodowania, ministrowie finansów ładują już worki z koronami na okręt, aby otrzeć łzy tureckie, cała w tem jednak nadzieja, że bojkot tak zaraz nie ustanie, robotnicy portowi w Konstantynopolu nie będą chcieli wyładować worków z koronami, jako proweniencyi austryackiej i prędzej powrócą skąd przyszły. To będzie jedyna korzyść, jaką możemy odnieść z bojkotu.

Zupełnie ten sam skutek miała rozmowa między Forgachem a Milowanowiczem. Ten ostatni wprawdzie niby żałował, że stał się powodem nieporozumienia, nie przeszkodziło mu to jednak, że z czułem sercem przyjął gratulacye księcia Jerzego, który winszował mu energicznego wystąpienia. Serbia nie wiele robi sobie z ultimatum austryackiego, chociaż już i jawni sprzymierzeńcy zaczynają jej lać zimną wodę na głowę, celem ostudzenia zapałów. Ze *Fremdenblatt* oświadcza, iż wielkie mocarstwa radziły nieraz z naciskiem politykom belgradzkim, by czekali ze swemi pretensyami i nadziejami do zwołać się mającej konferencyi, to nic dziwnego, boć *Fremdenblatt* to organ austryackiego ministerstwa spraw zagranicznych. Ale już i *Popolo romano* oświadcza zupełnie otwarcie, że jeżeli Serbia chce sprowokować wojnę, musi ją przestrzedz, aby przez nierozsądną niecierpliwość nie dopuściła się kroku, któryby ją pozbawił sympatyi wszystkich mocarstw i wprowadził w kłopotliwe następstwa. Ale trzęsienie ziemi poprzewracało w głowach serbskich polityków, czekamy na następne, może ich klepki pod jego wpływem powrócą na właściwe miejscą. Z naprężonej sytuacyi skorzysta Serbia w każdym razie, gdyż będzie miała nowe armaty i karabiny a jej żołnierze przecież raz całe buty.

Smutne te rozpamiętywania kwestyi bałkańskiej muszę przerwać wzmianką o nader humorystycznym występie jakiegoś pana czy pani *Dolores*, w każdym razie nomen omen — feljetonisty od siedmiu boleści, który w *Narodnich Listach* w artykule p. t. „Konserwatywny Kraków“ smalone duby piecze swym cierpliwym czytelnikom. Jeśli bajki o Krakowie pisze jakiś Anglik lub Francuz, który kraju nie zna, albo Niemiec, któremu przecież chodzi o to, aby to, co słowiańskie zohydzić, to rzecz zupełnie zrozumiała. Ale ażeby „sem braticzek“ z nad Wełtawy płótł takie bzdury, to już rzecz wołająca o pomstę do nieba. P. Dolores wystawił sobie świadectwo ubóstwa, a również naraził dobrą opinię swej redakcyi, która ma tak znakomitego sprawozdawcę. Pan Beringer, ambasador czeski przy krakowskim magistracie powinien urzędowo zaprotestować, bo inaczej wojna, sroższa niż ta, o której piszą w swym fejletonie krakowskie *Nowiny*.

Wartałoby p. Dolores zaprosić w tych czasach do Krakowa, kiedy to po mrozie nastaje odwilż. Zapewne ogłosiłby światu, że Kraków to celujące czystością i porządkiem miasto, bo my przed kilku dniami mieliśmy się sposobność przekonać, że jest zupełnie inaczej. Zeszłoroczne zmarznięte błoto, rozlało się nader miłemi i estetycznemi kałużami po chodnikach i śmiało się z magistrackich szczotek, które je misternie ku chodnikom zgarniały. Sekcye sportowe naszych towarzystw urządziły zawody w przeskakiwaniu tych topieli, walcząc zażarcie o mistrzowstwo wielkiego Krakowa. Dopiero na czas zjazdu posłów demokratycznych zamówiono mróz, pod którego dobroczynnym wpływem powróciło wszystko do *status quo ante*.

Prawdopodobnie skutkiem owego błota nie zgłosił się dotąd nikt po główną wygraną loteryi krakowskiej, bojąc się utopienia. Słyszałem, że owym szczęśliwcem jest król Piotr serbski, któremu nareszcie uśmiechnęła się fortuna, a to w sam czas, gdyż bardzo łaknie monety.

Wywczasy świętalne naszych panów posłów już dobiegają do końca. Jadą przedstawiciele kiełbasy wyborczej do Wiednia w tej miłej nadziei, że zamiast gabinetu koalicyjnego, który miał nastąpić po obecnym urzędniczym nastąpi nowy dziwoląg t. j. gabinet koncentracyjny, a gdyby i te zabiegi zawiodły, urzędniczy, ale wznowiony (coś w guście: wznowiona pomarańczówka) t. j. odmalowany, przewietrzony, połatany. W przededniu tej decydującej chwili, gdy jedne stronnictwa radzą cierpliwą wytrwałość, inne wytrwałą cierpliwość, odbyły się dwa ważne zjazdy, stojące w związku z biegiem wewnętrznej polityki. Pierwszy odbył się we Lwowie. Był to generalny przegląd narodowej demokracyi, która stawiła się w ordynku. Powzięto różne uchwały, z których najmilszą dla posłów było postanowienie, iż demokratyczne piersi mogą i powinny zdobić ordery, jasny i dobitny znak, że rząd sprzyja krajowi. Drugi zjazd odbył się w Krakowie. Było to pospolite ruszenie wszelkich posłów demokratycznych, zgromadzonych w sejmowej lewicy i klubie parlamentarnym. W chwili, gdy to piszę, odbywają się narady, nie mogę więc podać ich treści, choć podsłuchiwałem pod drzwiami, gdyż obrady za przykładem Koła polskiego, ogłoszono jako poufne. Mam jednak nadzieję, że któryś z uczestników zebrania pójdzie w ślady otoczenia cesarza Wilhelma i wygada się, jak to obecnie dzieje się często w świecie politycznym.

Swoją drogą paskudny kawał urządzili generałowie niemieccy swemu wymownemu cesarzowi. Sądząc, że wobec wojowników może być otwartym, bez obawy, aby potem Bülow pokazał mu cyrograf przez niego samego podpisany, że nie będzie gadał — postanowił sobie w sam Nowy Rok ulżyć i palnął mówkę o artykule gen. Schlieffena. Tymczasem pokazało się, że często i marsowata postać ma niewieści język, rozbabrano całą historyę, a Wiluś załamał ręce, wołając z boleścią: Już nie mogę liczyć nawet na swoją armię. Hurra! Zawrzało w prasie, a Bülow z powagą rzekł: Jest to cnota, nad cnotami!... za co nie dostał na Nowy Rok prezentu!

Piękny prezent nowoczesny dostała nasza c. k. landwera pod postacią własnej artyleryi i muzyki. Odtąd każdy landwerzysta chodzi z głową podniesioną i z góry patrzy na liniowe wojsko! Ja jako czynny członek c. k. landsturmu, przez naszych posłów poczynię starania, by to samo odznaczenie spotkało i nasze pospolite ruszenie. Węgrzy nas popra i sprawa będzie załatwiona. Na przyszłą wojnę wyruszy landwera już z muzyką, Serby poczną tańczyć, a landsturm „ohne Waffen“, w takt własnej orkiestry będzie obierał ziemniaki.

Z owej wojny będzie miał przynajmniej kto pisać wspomnienia, gdyż jak doniosły komunikaty urzędowe, nasze uniwersytety wyprodukowały nadmiar egzaminowanych historyków, ukwalifikowanych do uczenia w gimnazyach. Brakuje zato klasycznych filologów, widocznie Homer, Owidiusz i inni ciemiężyciele naszych synków, tracą coraz bardziej na wartości. Ma to być świadectwem zdegenerowania nowego pokolenia, gdyż, jak mi pewien emerytowany filolog kiedyś powiedział:

— Panie! co znaczy człowiek bez greki!?...

Zgadzam się ze zdaniem szanownego pedagoga, ale zaznaczam, iż sam jestem odstraszającym przykładem użyteczności greki. Uczyłem się jej obowiązkowo lat sześć, raz nawet na ogólne żądanie profesorów powtórzyłem jednę z klas, a dziś mam o niej takie pojęcie jak ślepy o kolorach, lub nasi wielcy patryoci o patryotyzmie.

Ja przyznam się szczerze, nie jestem z rodzaju owych panów, którzy to głoszą światu swe uczucia i wskazują społeczeństwu wytyczne, według których ma ono postępować, a postępują sami zwykle wprost przeciwnie, kto ich zaś nie słucha i nie uwielbia tego za nic nie mają. Niemile mnie jednak dotknęła wiadomość, że podgórski Sokół wynajął swoją salę jakiemuś socyalistyczno-żydowskiemu towarzystwu. Nie chciałem temu początkowo wierzyć, przekonałem się jednak naocznie, zobaczywszy na rogu ulicy ogromny afisz zapowiadający szumnie, iż stowarzyszenie „Vorwärts“ urządza w dniu 23 stycznia bal w sali Sokoła podgórskiego. Zdaje się, że towarzystwo tego rodzaju co Sokół, które ma być ostoją polskości, nie powinno było robić czegoś podobnego! Tendencye stowarzyszenia „Vorwärts“, wrogie wprost naszym uczuciom narodowym i religijnym, powinny były skłonić Sokoła podgórskiego do odmownego załatwienia sprawy. Z powagą polskiego Sokoła to nie licuje, jeśli w jego sali zabawia się międzynarodówka, bo wszelkie wieści o polskim socyalizmie uważam za mrzonkę, a już specyalnie wspomniane wyżej stowarzyszenie, przybierając niemieckie nazwisko, określiło dosadnie swój charakter. Tłumaczono mi, że Sokół podgórski znajduje się w opłakanych stosunkach finansowych, nie może więc wybierać, ale musi chwytać pieniądze skąd płyną, ja jestem jednak tego zdania, że dla zachowania powagi i nie kompromitowania tak szczytnej idei jak sokoła, która przecież nie ma żadnych styczności z socyalizmem i to międzynarodowym lub szwabskim, należy być bardziej wybrednym.

Myślę, że Sokół w Dobczycach lub Frysztaku nie zrobiłby żadną miarą tak fałszywego kroku, jak zarząd gniazda podgórskiego, a przecież w temże Podgórzu twierdzono swojego czasu z dumą, że Podgórzowi trzeba tylko uniwersytetu, a będzie drugim Krakowem! Z przytoczonego faktu widać jednak, iż daleko mu do tego. *X.*

Głosy publiczne.

Zapobiegliwa Dyrekcya Cyrku Edison dołożyła wszelkich starań, aby sprowadzić do Krakowa straszną katastrofę w Sycylii, miasta Messynę, Reggio, Palmi i Catanię, wydobywanie zwłok z pod gruzów, rannych, marynarzy rosyjskich przy pracy, ruiny miast, ratunek i t. d.

Obrazy te zdjęto na miejscu z natury, przedstawiają też one z wierną dokładnością wstrząsające zdarzenia dni ostatnich. Serya ta daną będzie począwszy od piątku 15 stycznia do czwartku 22 stycznia b. r.

Odpowiedzi Redakcyi.

WPan Z. Szromba, Nowy Sącz. Rozwiązania zagadek i szarad można nadsyłać i na korespondentkach. Zagadki ułożone przez P. T. Czytelników umieszczamy chętnie, o ile uznane zostaną jako odpowiednie przez naszego referenta tego działu.

WPan B. B. Tarnów. Prawo wzięcia udziału w losowaniu przysługuje Panu. Nr. 1 z r. 1909 zupełnie obecnie wyczerpany, nadeśle Administracya naszego pisma zaraz po sporządzeniu nowego nakładu.

Fortuna, Wiedeń. Ciągnienie losów Towarzystwa Szkoły Ludowej odroczone.

WP. Wiktor Kossowski, Warszawa. Koniecznym warunkiem wzięcia udziału w losowaniu jest zaprenumerowanie naszego pisma albo wprost w Redakcyi Zacisze 7, albo w Warszawie u Ungra. Wydawnictwo nasze jest bardzo kosztowne, według więc liczby stałych prenumeratorów regulujemy każdorocznie jego nakład.

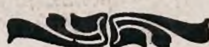
WP. W. Satalecki Kraków. W drugi poniedziałek po ukazaniu się każdego numeru.

Szan. P. T. Czytelników, nadsyłających rozwiązania wielkiej szarady, zawiadamiamy, iż na listy z zapytaniem, czy szarada dobrze rozwiązana i pod jakim numerem zapisano ich nazwisko w liście ubiegających się o nagrody, pojedynczo, choćby nawet włączone były marki, odpowiadać nie możemy. W swoim czasie ogłosimy listę nadesłanych dobrych rozwiązań.

WP. K. L. Rozwiązanie zagadek pomieszczonych w każdym numerze należy nadsyłać w ten sposób, aby Redakcya mogła je otrzymać najpóźniej w drugi poniedziałek po ukazaniu się numeru.

Ciekawemu we Lwowie. Wystarczy być prenumeratorem kwartalnym, aby módz w całej pełni korzystać z praw w udziale rozwiązania.

WPani A. T. Kraków. Wygranej w gotówce zamiast w przedmiocie otrzymać nie można.



Niebywałe odznaczenie polskiego artysty.

Włosi nietylko kochają sztukę, ale także odznaczają się daleko posuniętym pietyzmem dla pamięci jej kapłanów. Wszystko, co tylko związanem jest z pamięcią wielkich malarzy, rzeźbiarzy lub muzyków, posiada dla mieszkańców boskiej Italii wartość relikwij, o które są niesłychanie zazdrośni. Do takich relikwij należą, między innemi i skrzypce Paganiniego (ur. 1782 r., zm. 1840 r.), przechowywane w jego mieście rodzinnem Genui.



Niebywałe odznaczenie polskiego artysty: Bronisław Huberman, który grał na skrzypcach Paganiniego w Genui.

Skrzypce te, strzeżone niby skarb najkosztowniejszy, uchodziły za nietykalne. Nawet wówczas, gdy książę Connaught, pragnąc je umieścić na wystawie wszechświatowej w Londynie, ofiarował milion lirów kaucyi i obowiązał się przewieść je na statku wojennym do Anglii, Genueńczycy nie zgodzili się na propozycyę.

Dopiero kilka dni temu instrument największego włoskiego wirtuoza skrzypcowego wydobyto ze szklannej skrzyni, w której spoczywał pod pieczęciami i pozwolono grać na nim Bronisławowi Hubermanowi, w Genui dającemu koncert na rzecz ofiar ostatniego trzęsienia ziemi. Jest to tak niebywałe odznaczenie naszego rodaka, że prasa włoska rozpisuje się o niem szeroko. I tak, szklanne pudło, gdzie są umieszczone skrzypce Paganiniego, otwarto w asystencyi notaryusza i notablów genueńskich. Następnie umieszczono je w oryginalnem pudle, osobno przechowywanem, które ozdobiono wstęgami o barwach narodowych i przeniesiono w asystencyi służby honorowej do teatru Carlo Felice, z całej tej czynności spisawszy urzędowy protokół.

Na estradzie koncertowej zajęli miejsce świadkowie u-



Po katastrofie: „Ratujcie!“



Po katastrofie: Król Wiktor Emanuel bierze osobisty udział w akcyi ratunkowej.



Po katastrofie: Straszne odkrycie pod gruzami zawalonego domu.

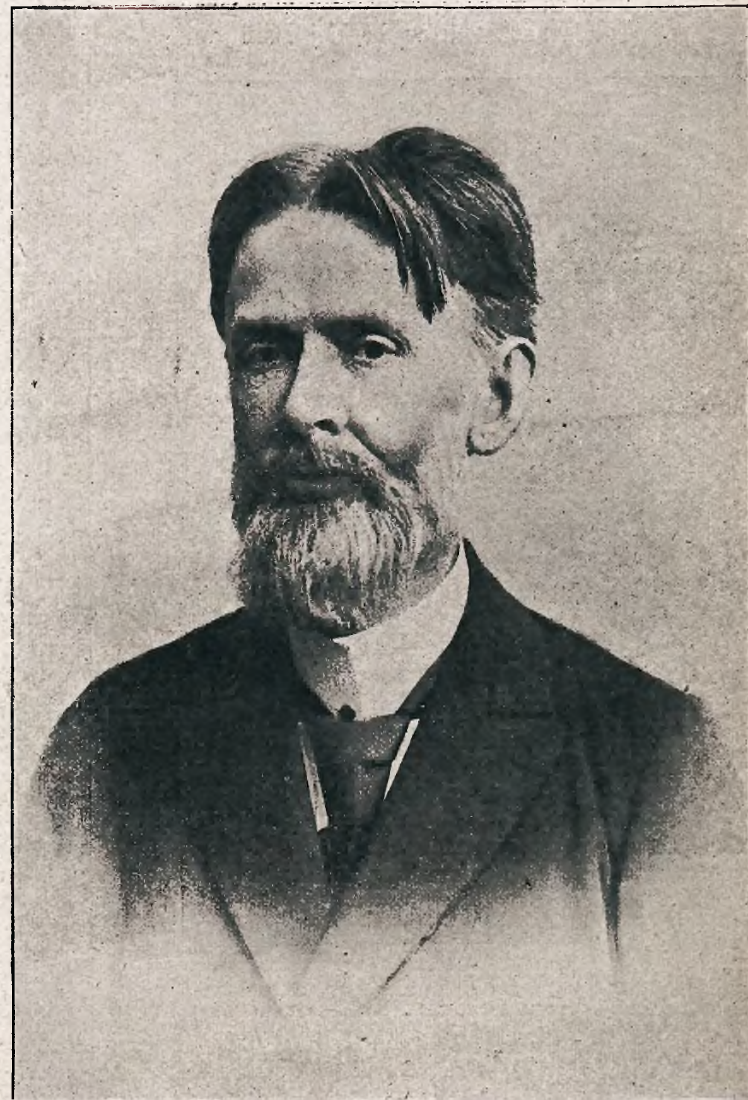
rzędowi, którzy odbierali skrzypce z rąk artysty, po każdym odegranym numerze. Po koncercie spisano drugi protokół, a gdy skrzypce wróciły do muzeum — trzeci.

Znakomity nasz artysta — podajemy w tym numerze jego portret — podobno przeszedł owego wieczoru sam siebie. Słuchacze, którzy pomimo cen wysokich wypełnili salę po brzegi, zostali jego grą rozentuzyazmowani. Dzienniki genueńskie wydały osobne dodatki o tym koncercie, przepełnione wyrazami uwielbienia dla Hubermana, który sławę polskiej sztuki tak dzielnie pomnaża w ojczyźnie Verdich, Rossinich, Paganinich i wielu, wielu innych mistrzów muzyki. Stwierdzają one jednogłośnie, że skrzypce wielkiego Paganiniego w godne ręce się dostały na tym koncercie.

Zgon zasłużonego uczonego.

Coraz to przerzedzają się szeregi weteranów, którzy nieśli wysoko sztandar naszej nauki i piśmiennictwa. I znów ubył jeden z nich, jeden z najzasłużeńszych i najsympatyczniejszych, bo skromnych i nieszukających rozgłosu. W dniu 13 b. m. rozstał się z tym światem w Krakowie, po dłuższych cierpieniach, ś. p. Adam Bełcikowski, przeżywszy lat siedmdziesiąt.

Pracowity był i zasłużony żywot tego człowieka, który pozostawia po sobie najlepszą pamięć, jako mąż prawego charakteru, jako gorący patryota, jako zdolny autor dramatyczny i poeta oraz wyborny historyk literatury polskiej. Bełcikowski urodził się w Krakowie, gdzie, z wyjątkiem dwuletniego pobytu w Warszawie, przepędził całe swe życie. W roku 1865 doktoryzował się na Uniwersytecie Jagiellońskim jako doktor filozofii. Już w roku następnym wezwała go ówczesna Szkoła Główna w Warszawie na stanowisko docenta historyi literatury polskiej. To zaszczytne wezwanie bardzo młodego uczonego nastąpiło skutkiem przyznania pierwszeństwa jego rozprawie konkursowej na temat: „Stanowisko Reja w literaturze polskiej i stosunek jego do reformy w Polsce“, ogłoszony przez wydział filologiczno-historyczny wymienionej Szkoły, celem pozyskania odpowiedniej siły naukowej.



Zgon zasłużonego uczonego: Śp. Adam Bełcikowski.

Nie długo jednak mógł Bełcikowski przebywać na ówczesnej wszechnicy warszawskiej, jako jeden z uczących. W r. 1868 powraca do Krakowa i habilituje się w roku następnym także na docenta historyi literatury polskiej „Almae matris“ krakowskiej. W początkach zaś lat 70-tych wstępuje jako urzędnik do Biblioteki Jagiellońskiej i na tem stanowisku trwa aż do ostatnich czasów, nie ustając



Wystawa prac uczniów rękodzielniczych oraz zabytków cechowych w Żywcu: Wnętrze wystawy.

w pracy zarówno zawodowej, jak też na polu dramatycznem i historyi literatury.

Wyliczyć wszystkie jego prace naukowe nie sposób, wspomnieć jednak trzeba o najważniejszych, do których należą: „Mikołaj Rej z Nagłowic“, „Wacław z Potoka Potocki“, „Lucyan Siemieński“, „O życiu i pismach Grochowskiego“ i t. d. Z utworów zaś dramatycznych, odznaczających się bardzo pięknym językiem, poetycznością i silnym nerwem dramatycznym, zasługują na uwagę: „Adam Tarło“ dram. w 5 akt., „Hunyady“ dram. w 5 akt., „Dwaj Radziwiłłowie“ komedya w 5 akt. i „Król Mieczysław II“ dram. w 5 akt., uwieńczony pierwszą nagrodą n konkursie krakowskim w 1876 roku.

Oprócz dramatów i komedyj pisał Bełcikowski także udatne poezye, jak n. p. „Dwa poemata“ (Zyfiówka i Serafina), oraz powieści i nowele, jak Patryarcha“ i „Ognisko domowe“. Mnóstwo jego prac pomniejszych, artykułów, studyów historyczno-literackich i poezyi ulotnych, rozrzuconych jest po wszystkich prawie galicyjskich i warszawskich wydawnictwach peryodycznych.

Wydanie zbiorowe prac ś. p. Bełcikowskiego z zakresu historyi literatury, wyszło z przeddmową Piotra Chmielowskiego w Warszawie u Paprockiego w 1886 r. p. t.: „Z dziejów literatury polskiej“, zbiorowe zaś wydanie prac dramatycznych w 1898 roku.

W roku 1902 krakowskie Koło

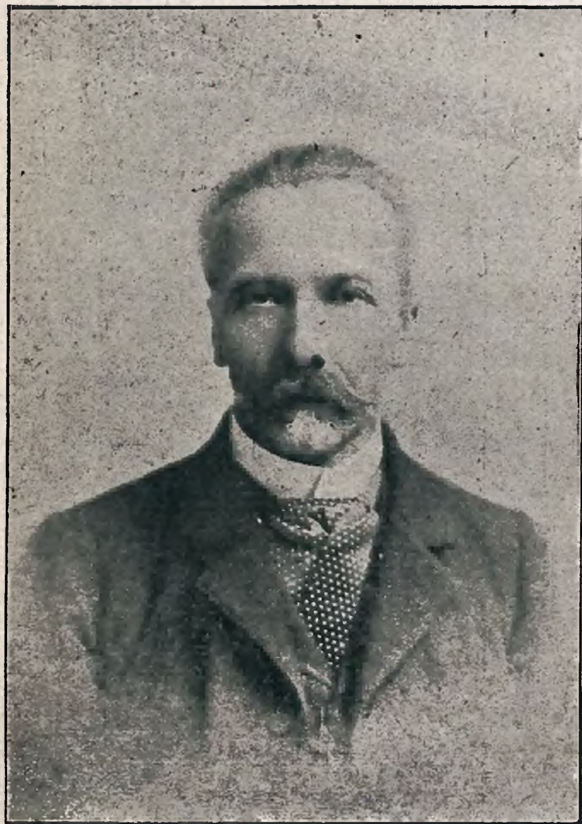


Wystawa prac uczniów rękodzielniczych oraz zabytków cechowych w Żywcu: Wnętrze wystawy.

Wystawa prac uczniów rękodzielniczych oraz zabytków cechowych w Żywcu: Uczestnicy otwarcia wystawy. 1. Przewodniczący komitetu Andrzej Moliński. 2. Starosta Stanisław Porth. 3. Inspektor przemysłowy Witold Ostrowski. 4. Sekretarz wystawy K. Lankosz.

artystyczno-literackie uczciło zasługi ś. p. Bełcikowskiego skromnym obchodem 40-letniego jubileuszu jego działalności naukowej i literackiej i ofiarowało mu śliczną plakietę z portretem, wykonaną przez artystę-rzeźbiarza Tadeusza Błotnickiego.

Cześć pamięci zacnego człowieka, dobrego Polaka, wybitnego pisarza i znakomitego przedstawiciela polskiej nauki!



Fot. M. Münz Lwów.
Uczczenie znakomitego historyka: dr. Prof. Tadeusz Wojciechowski.

Uczczenie znakomitego historyka.

Gdy przed dwoma laty ustępował z zajmowanego przez się posterunku naukowego znakomity historyk, profesor uniwersytetu lwowskiego, Dr. Tadeusz Wojciechowski, uchwalił senat akademicki uczcić jego zasługi pamiątkową plakietą. Uchwała urzeczywistnioną została dopiero obecnie. W sobotę, o godz. 12 w południe rektor uniwersytetu lwowskiego, prof. Dr. Mars z deputacyą, złożoną z prorektora Dra Dembińskiego, oraz dziekanów wszystkich czterech wydziałów i profesora Finkla, udał się do mieszkania Dra Wojciechowskiego, gdzie po stosownej przemowie, podnoszącej zasługi, jakie położył dla polskiej nauki, a dla lwowskiej „Almae matris" w szczególności, wręczył mu plakietę, wybitą na jego cześć przez Uniwersytet lwowski.

Plakieta, wykonana przez młodego artystę Włodzimierza Koniecznego, podzielona u góry na trzy pola łukami gotyckimi, w środku przedstawia zamek i katedrę na Wawelu według ryciny z XVII. wieku, na pamiątkę pomnikowego dzieła prof. Wojciechowskiego o świątyni wawelskiej, po stronie lewej symbol historyi pod postacią zamyślonej kobiety, po prawej wśród liści wawrzynu sylwetę jubilata. W otoku napis gotycki: „Tadeuszowi Wojciechowskiemu Uniwersytet lwowski 1907."

Wzruszony do głębi podziękował prof. Wojciechowski, otoczony rodziną w serdecznych słowach deputacyi i zapewnił, że uważa to odznaczenie za najwyższe, jakie go spotkało w życiu i że mimo ustąpienia z katedry, nie wygasły wcale związki, które go łączyły z lwowskim uniwersytetem.



Fot. M. Münz Lwów.
Uczczenie znakomitego historyka: Plakieta ofiarowana przez Uniwersytet prof. Wojciechowskiemu.

Do hołdu senatu akademickiego przyłączyła się młodzież uniwersytecka oddającą się studyom historycznym. W dniu 10 stycznia udała się do mieszkania prof. Wojciechowskiego delegacya młodzieży, imieniem której przemówił do byłego profesora Kazimierz Hartleb, przewodniczący koła historyków, wyrażając hołd młodzieży i składając życzenia długich jeszcze lat życia dla dobra nauki. Prof. Wojciechowski podziękował za ten objaw życzliwości ze strony młodzieży, z którą i nadal chce utrzymywać jak najściślejszy kontakt.

Oprócz tych oficyalnych życzeń nadeszło w sobotę i niedzielę na ręce uniwersytetu bardzo wiele telegramów z kraju i zagranicy, głównie z Warszawy. Z życzeniami i wyrazami hołdu pospieszyli wybitni uczeni i towarzystwa naukowe.

Prof. Wojciechowski urodził się w Krakowie w roku 1838 i tu przeszedł chrzest naukowy, we Lwowie zaś na katedrze historyi polskiej zabłysnął zaraz w początkach odrodzenia polskości tego uniwersytetu i słynął przez cały czas pracy swojej jako filar i chluba polskiej nauki.

Podając w bieżącym numerze portret znakomitego historyka i podobiznę wręczonej mu plakiety, łączymy się i my z życzeniami ogółu!

Wystawa prac uczniów rękodzielniczych oraz zabytków cechowych w Żywcu.

Za inicyatywą c. k. instruktora dla stowarzyszeń przemysłowych w Krakowie, znanego w szero-



Kursa rolnicze imienia Promyka: Uczestnicy kursu i nauczyciele po nabożeństwie w Brwinowie.



50 lat na posterunku: Ś. p. Stanisław Sikorski, woźny krakowskiego Tow. Ubezp.

kich kołach p. Witolda Ostrowskiego i przy współudziale stowarzyszeń przemysłowych powiatu żywieckiego, urządzono w Żywcu wystawę prac uczniów rękodzielniczych i zabytków cechowych. Otwarcie nastąpiło w dniu 31 grudnia 1908 w obecności starosty żywieckiego p. Stanisława Portha, inspektora przemysłowego p. W. Ostrowskiego, reprezentantów władz rządowych, autonomicznych i korporacyj przemysłowych.

Komitet pod przewodnictwem prezesa p. Andrzeja Molińskiego i sekretarza p. Karola Lankosza, wywiązał się doskonale ze swego zadania. Wystawa, urządzona w pięknie przez p. Karola Schestuka przystrojonej sali magistratu, przedstawia się imponująco.

Sto dwadzieścia przedmiotów wykonanych przez 100 uczniów, obejmuje prawie wszystkie rękodzieła w przeważnej części roboty szewskie, ślusarskie, kowalskie, stolarskie, krawieckie i koszykarskie. Ogólną uwagę zwracały wyroby koszykarskie, wykonane przez chłopców wiejskich z Zarzecza, gdzie Rada szkolna krajowa otwiera szkołę koszykarską, tudzież zabawki dla dzieci z Lachowic. Pięćdziesiąt przedmiotów najstaranniej i najdokładniej wykonanych odznaczono nagrodami.

Wystawę zwiedziło dotychczas 7.000 osób. W dniu 5 stycznia przybył Najdostojniejszy Arcyksiążę Karol Stefan, któremu rozwój powiatu żywieckiego zawsze leży w sercu i oglądał z ogromnem zajęciem całą wystawę, przyczem złożył 50 koron na nagrody dla uczniów. Arcyksięciu towarzyszy najstarsza córka, Arcyksiężniczka Eleonora.

Przedmioty wystawione zakupił w części Arcyksiążę, w części ministerstwo robót publicznych (model pługa, wykonany bardzo pięknie przez ucznia z Ujsoł) i zwiedzającą publiczność.

Zamknięcie wystawy nastąpiło w dniu 7 stycznia b. r. w obecności starosty Portha. Odznaczonym uczniom wręczono przyznane im nagrody, ich majstrom dyplomy uznania. Komitet uchwalił nadto wręczyć dyplom honorowy przewodniczącemu wystawy p. Andrzejowi Molińskiemu za jego trudy i zabiegi około urządzenia wystawy.

50 lat na posterunku.

Z biegiem czasu ustępują z widowni typowe postacie Krakowa, z któremi tak się zżyli mieszkańcy, iż gdy ich braknie, dłuższy czas czują koło siebie jakąś pustkę. Jedną z takich osobistości był zmarły w bieżącym tygodniu długoletni woźny krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń, Stanisław Sikorski. Któż mający styczność z krakowską Floryanką nie znał sympatycznego staruszka, który obowiązki swe pełnił gorliwie od czasu założenia Towarzystwa? Sumienną a uczciwą pracą zjednał sobie ś. p. zmarły uznanie swych przełożonych, a grzecznem obejściem miłe wspomnienie u wszystkich, którzy kiedykolwiek z nim się zetknęli. Za czterdziestoletnią wierną służbę odznaczony został ś. p. Sikorski medalem honorowym, który przed kilku laty wręczono mu uroczyście.

Dowodem uznania i sympatyi, jaką cieszył się nieboszczyk u swych przełożonych i w szerokich kołach publiczności był jego pogrzeb, który się odbył w dniu 13 stycznia b. r. Ostatnią posługę oddali zmarłemu wszyscy obecni w Krakowie członkowie Rady nadzorczej Towarzystwa, Dyrekcya in corpore z gronem urzędników i liczna publiczność, wśród której zauważyliśmy kilku dyrektorów krakowskich instytucyj finansowych. W zmarłym straciło Towarzystwo wiernego choć cichego pomocnika, a służba wszelkich kategoryj wzór godny naśladowania.

Kursa rolnicze im. Promyka.

Królestwo Polskie zyskało w ostatnich czasach bardzo pożyteczną instytucyę, która powinna w bardzo dodatni sposób przyczynić się do wzrostu kultury między naszymi włościanami. Są to zimowe dziesięciotygodniowe kursa rolnicze dla włościan. Nadano im imię ś. p. Promyka, aby tym czynem, zgodnym z jego dążeniami, uczcić pamięć zasłużonego działacza na niwie narodowej.

Kursa te są dziełem zakładu Centralnego Kółek rolniczych, którego prezes, p. Leśniewski, powitał zebranych uczniów serdecznemi słowy, zachęcając ich do pracy i wskazując idealną postać Promyka, jako wzór do naśladowania.

Celem kursów, na które zapisało się 32 synów włościańskich, jest udzielenie mu w krótkim stosunkowo, bo tylko dziesięciotygodniowym okresie pracy, możliwie największej ilości potrzebnej wiedzy, głównie z zakresu gospodarstwa rolnego, którąby potem mogli u siebie spożytkować. Opłata za naukę wraz z mieszkaniem i utrzymaniem wynosi 25 rs., a nie wydała się włościanom zbyt wysoką, gdyż tak licznie zapisywali się na kursa, że wielu z nich nie można było przyjąć dla braku miejsca.

Początek uroczystości odbył się w kościele bułanowskim, w którym staruszek proboszcz odprawił mszę św., za duszę ś. p. Konrada Pruszyńskiego (Promyka) i za pomyślność uczniów. Wysłuchali jej w skupieniu ducha członkowie Zarządu Kółek rolniczych, przedstawiciele prasy, którym przewodził redaktor Gazety świątecznej p. Tadeusz Pruszyński, syn zasłużonego działacza, i garstka kursistów, którzy na uroczystość otwarcia stawili się w liczbie 15.

Zaraz po przemówieniu p. Leśniewskiego rozpoczęli nauczyciele pszczeliński systematyczne wykłady. Pierwszy mówił kierownik szkoły p. Bańkowski, o uprawie roślin. W pracy pomagać mają nauczycielom miejscowym działacze warszawscy: pp. Piątkowski, Stefan Jankowski, Wieniawski, Wojciechowski i inni.

Pożyteczna ta instytucya, która w dniu 11. stycznia weszła w życie, jest pierwszą próbą utworzenia stałych wykładów zimowych dla naszych włościan, uznających ich ważność i użyteczność.

Illustracya nasza przedstawia uczestników kursu i ich nauczycieli po nabożeństwie rozpoczynającem kurs.

Zagadki do nagrody.

SZARADA.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Gdy *druga, czwarta,* owionie sioła
Ustaje praca i milknie śpiew,
Wówczas wśród boru puszczyk zawoła
Lecz głos wnet skona wśród *trzecich* drzew.

Gdy zdala zwrócę ku chatom oczy
Wstecz *pierwsze z drugiem* tak blado lśni
I rzuca łunę ku wód przeźroczy
Przyroda cała spokojnie śni.

A całość wnosi w wiejskie poddasze
Swych szczerych piosnek bogaty strój.
I do snu tuli pieśniarka nasza
Wieśniaczych dziatek swawolny rój!

ŁAMIGŁÓWKA MATEMATYCZNA.

Ułożył Józef Michalak z Warszawy.

Podane cyfry tak poprzestawiać, aby w każdym kierunku t. j. w pionowym, poziomym i wzdłuż przekątni dały sumę 15

1 2 3
4 5 6
7 8 9

KWADRAT MAGICZNY.

Ułożył L. Wygrzywalski, Kraków.

Z podanych liter utworzyć szereg wyrazów różnobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a a a a a
b d e e g
n n n n n
r r t t z.

ARYTMOGRAF.

Zamiast liczb wstawić litery tak, aby środkowe litery utworzonych wyrazów, czytane z góry do dołu, dały imię i nazwisko zmarłego znakomitego bibliografa polskiego.

24 15 4 29 5
10 15 10 15 6 15 4
28 26 18 24 6 15 2 8 19
1 15 10 15 16 29 6 25 15 5 15
16 9 6 22 3 5 3
10 9 5 5 9 28 28 9 9
28 15 5 28 28 29 18 8 3
10 9 16 3 28 10 29 4 22 9 28
20 15 5 10 6 26 9 8 3
15 22 25 9 6 3 10
15 22 18 16 3 5 3 18 16
15 29 6 18 8 26 5 3 4
24 15 8 14 16 18 10
10 9 26 9 18 28 26
16 29 6 9 15

Znaczenie wyrażów: 1. Wielkiej sławy uczony mnich angielski z XIII wieku. 2. Roślina wodna. 3. Towarzystwo literacko-moralne w wilnie. 4. Zjawisko optyczne. 5. Budowniczy nadworny Stan. Augusta. 6. Jeden ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. 7. Ulubiona rezydencya Fryderyka Wielkiego. 8. Genialny wódz i mąż stanu grecki. 9. Król polski 10. Minerał. 11. Pierwiastek. 12. Oficer niższego stopnia. 13. Miasto pow. w gubernii Jekaterynosławskiej. 14. Mityczny. bohater ateński, zaliczony do półbogów. 15. Półwysep w Europie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Stefana Żeromskiego: **„Ludzie bezdomni“**, powieść, 2 tomy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 1.

Krzyż magiczny: Bażanty, Drabina, Gonitwa.
Szarada: Maszynka.
Logogryf: William Szekspir.
Zagadka: Barok, Korab.
Szarada: Kapusta.
Logogryf: Zofia Chrzanowska, w obronie Trębowli.
Szarada: Karabela.
Szarada: Winogrona.
Szarada: Jarmarki.
Łamigłówka: Jaka praca, taka płaca.
Szarada: Krynolina.
Zadanie: Sen mara, Bóg wiara.
Szarada: Kometa:
Zagadka kryształowa: Sienkiewicz.
Szarada: Parasol.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, K. Lebiedziński Lwów, Z. Gaudnik Stary Sącz, K. Jurkiewicz Grodziec, W. Czeppe Tarnobrzeg, Z. Giżycki Warszawa, M. Andrzejewska Nowa Wieś, W. Dagnau Piwniczna, M. Kierski Truskewiec, J. Augustynowicz Żywiec, B. Ertel Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, A. Ňikosiewiczowa Krzywe, T. Przybylski Podgórze, S. Zarzecki Kraków, W. Laskowski Warszawa, J. Januszewski Podgórze, A. Bocsoń Bóbrka, J. Tabor Lwów, L. P. Hustatyn, K. Gugata Wojniłów, A. Dziewański Żurawno, B. Mieczkowski Kraków, M. Kościński Żarki, T. Stojanowski Przemyśl, M. Świszczowska Swoszowice, H. Welfle Kolbuszowa, A. Jukiel Jasło, H. Pawłowska Bóbrka, J. Mardarowicz Kołomyja, Gawrońska Kamionka Strumiłowa, Z. Hirschowa Kołomyja, S. Lech Jaworzno, J. Smoszna Milówka, Czytelnia akademicka Bochnia, N. Kochańska Kobylanka, A. Grabowska Berwałd, H. Mokrzycka Romanówka, H. Chodkiewicz Warszawa, J. Podhalicz Kołomyja, A. Brazgacz Andrychów, S. Cześnikiewicz Kraków, Jerzyk Biernacki Warszawa, K. Fuchs Czeremchów, A. Huppman Kraków, B. Rotter Hanietów, J. Rożniatowski Jabłonów, Z. Szromba Nowy Sącz, M. Szaleska Stary Wiśnicz, P. Drzewiecka, Lwów, Zośka z Wojnarówny, E. Tykarski Drohobycz, A. Kadła, Tapin, K. Satalecka Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał K. Lebiedziński Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal na koszta przesyłki.

Nadesłane.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przymuje odpowiedzialności.